

SKARB CZYK

BAŚNIE I POWIEŚCI

z ust ludu i książek

ZEBRAŁ

ZYGMUNT GLOGER

WYDANIE TRZECIE POMNOŻONE.

„Baśnie dlatego są zmyślane, iżby prostaczkom takim
sposobem podawały się rzeczy potrzebne; jako owo dzieciom
gorzki a zdrowy trunek miodem rodzice sładzą.”

Lukasz Górnicki.

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1898

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Ноября 1897 года.



~~884 3-338 (438)~~

821.162.1-343.4

WIANEK HALINY.

Gdzie błękitna struga płynie po mazowieckiej równinie, tam leżała wieś nad strugą; w wiosce było dziewcząt wiele, jedna piękniejsza nad drugą. Ale najkrańszcza ze wszystkich dziewczyna była uboga sierota Halina. Wszystkie zamożnych gospodarzów córy zazdrościły jej urody, tylko ona tak dobra i skromna była, że im dostatków nie zazdrościła. Gdy inne stroiły swe włosy w złotko i robione kwiatki, Halina wplatała w wianek rutę, barwinek i bławatki; gdy one srebrnym grzebieniem zapinały włosy, sierota na smukłe ramiona dwie bujne spuszczała kosy; gdy one rade wdziewały strój miastowy, nieboga na bieluchną koszulkę — gorset granatowy.

Sierota była nieraz u bogatszych dziewczek w poniewierce, ale że miała dobroć anielską i złote serce, więc się za to nie gniewała, po chrześcijańsku przebaczała i tylko sobie czasem starą smutną piosnkę — zaśpiewała:

Oj jednaż ja, jedna,
jak gruszeńka w polu.
Oj niemaż mnie, niema
pożalować komu.
Mateńka stareńka,
siostrzyczka maleńka,
braciszek na wojnie
i ten nie wie o mnie.

Ciężko kamieniowi
przy drodze leżący,
a mnie jeszcze ciężej,
sierotą będącej.
Bo kto idzie drogą,
trąci kamień nogą,—
tak i mnie potrąci,
sierotę ubogą.
Sierotę omówić,
sierotę ogadać,
lecz wie Bóg Najwyższy,
co sierocie ma dać.
Sierota, sierota,
ale nie każdemu,
jeno sieroteńka
Bogu Najwyższemu.
Sierocie śpiewajcie,
sierocie zagrajcie,
a wy bogaterki
jeszcze zaczekajcie!

I przy tej piosnce rzewliwej czasem cicho zapłakała, a drobne łezki zrosiły jej kraśne jagody, jako poranna rosa jagody kaliny; a aniołowie zbierali te perełki i wzamian wlewali w duszę sieroty spokój, wiarę i nadzieję.

Dziewczyzna dumnie na parobków spoglądała, bo wiedziała, że każdy prawie za bogactwem jeno goni. Dawno bowiem minęły już te lata, kiedy przez młodzieńców dawana była zapłata rodzicom za poślubione ich córę.

A jednak, gdy dziewczęta czyniły wróżby zameżcia, zawsze najczęściej szczęścia losy dawały sierocie. Więc czy która zapytała, gdy kukulka zakukała: „Za lat wiele me wesele?“ — to wróżka szara, skrzydlata, długie liczyła im lata, lub umilkła, jak zakłeta, a zasmucione dziewczęta słuchały pełne sromoty, gdy dawała dla sieroty tylko rok jeden panieństwa. Czy to przy siewie lnu w dzień majowy, lub rzucaniu sierpów w ostatni

dzień żniwa, wróżba bywała dla niej zawsze szczęśliwa. Czy to w on wieczór tajemniczy, w przeddzień świętego Andrzeja, wróżących dziewcząt patrona, tylko Haliny nadzieja nie była zawiedziona. I lnu wiechetek przez nią zapalony lekko unosił się do nieba, i kundel, do świetlicy wpuszczony, brał najpierw jej gałkę chleba, a kogut jej ziarno pszenicy. Dla niej z topionego na wodę wosku i ołowiu odlał się rycerz dzielny na bachmacie, gdy dla innych—krzyż, trumna, znak śmiertelny, lub postać w zakonnej szacie, staropanieństwa wróżba.

Gdzie błękitna struga płynie po mazowieckiej równinie, a nad strugą wioska leży, w zielonych sadach ukryta, tam po skwarnym dniu czerwcowym nadchodził wieczór sobótki i świętojańskiej nocy zmrok krótki, w którym na szczęśliwych dolę tajemnie paproć zakwita. Więc już o słońca zachodzie na wzgórzu nad brzegiem strugi młodzież, tej zabawie rada, wielki stos łomu układa, a wszystkie z wioski dziewczęta niosą wianeczki swoje, kwoli wróżbom, do puszczenia ich na wodę, jako starzy zwyczaj każe. A wianki te były strojne w złote listki, wstążek sploty, tylko wianek jednej sieroty nie nie przysrajają, nie złoci, uwity jeno z ruty i stokroci.

I z dwunastu dziewczycich piersi dźwięcznie pieśń z dawnych czasów zabrzmiała:

Stoi lipieńka, stoi zielona,
listeczki opuściła,
pod nią dziewczyna, pod nią jedyna,
z ruty wianeczki wiła.
Oj czego płaczesz, moja dziewczyno,
ach cóż ci za niedola?
nie płacz że Kasiu, smutnaś po Jasiu,
ach będziesz ci go miała.
O mój Jasieńku, o mój jedyny!
da stać mi się szkoda,
uwiłam ci ja parę wianeczków,
zabrała mi je woda.
Moja dziewczyno, moja jedyno!
nie troszcz że ty się o nie,

o j mam ci ja, mam parę łabędzi,
 popłynąć one po nie.
 Już jeden płynie po rokiennym,
 wianeczka sięgający,
 już drugi płynie, aż się odchynie,
 wianka nie dostający.
 Łabędzie płyną, wianeczki toną,
 bystra je woda garnie;
 moje wianeczki z drobnej ruteczki,
 mamli was stracić marnie?
 Łabędzie płyną, wianeczki giną,
 bystra je woda niesie;
 nie masz wianeczka, moja Kasieczka,
 już ja cię nie pocieszę.
 Łabędzie wróćcie, serca nie smuccie;
 wianeczka nie przyniosły,
 tylko rąbeczek—to na czepeczek,
 na twoje złote włosy!

Pieśń umilkła i tylko jej echo odbijało się w olsowych gajach, cienistych dąbrowach i dalekim boru. I znowu była chwila cicha. Noc letnia przysłoniła mrokiem szeroką mazowiecką krainę, luna od stosu sobótki coraz żwawiej biła w obłoki, dobrze świadcząc za tym ludem, zwyczajem ojców szanującym, i przeglądając się już rok tysiadczy w czarnej toni strumienia, który odwiecznym olchom szemrał tajemnice swych nurtów. W świetle ognia i mroku nocy migały postacie dziewczynek i młodzieńców, aż wreszcie dał się słyszeć plusk wienców, puszcanych po bystrej fali przez dziewczęta, bicie, wiosła, łódek gonitwa zacięta i zwycięskie tych okrzyki, którzy, zdobywszy wianki, rzucone ręką bogdanki u swego boku z dumą je zawieszali.

Jedna tylko, jedyna, stała długo dziewczyna, tęskno w nurty patrzyła, wienca puścić nie chciała. Aż po smętnym namyśle sam on wypadł jej z dłoni; zrazu przepadł gdzieś w toni, lecz prąd go już unosi, a żaden z synów gospodarzy nie ma szczerzej ochoty dogonić wienca sieroty, lub, goniąc, wypuszcza z dłoni. Wieniec

coraz szybciej płynie i już w mrocznej dali ginie, a złe ukryty uśmiech igra na twarzy towarzyszek. Gdy oto niespodziewanie dziwny szmer i zamieszanie powstało pośród młodzieży. Jakiś rycerz dzielny, młody, zpoza drzew konno wyskoczy, zbroja na nim lśni się od ogniska, a przy zbroi orle skrzydła, bachmat białą pianą pryska i, spięty silnie ostrogą, rzuca się w wody strumienia, a rycerz z chyżością jelenia chwyta wianek dziewczewicy, podnosi dumnie ku niebu, zawiesza sobie u boku i lotem błyskawicy ginie w wieczornym mroku.

Gwarem podziwu gawieźdź zawrzała i ciekawie spoglądała to w rzeki nurty spienione, to na Halinę, to w stronę gdzie dolina od kopyt końskich drżała. A biedna Halina stała blada i nieruchoma, jak posąg, co świętych wyobraża. I tylko stary dziad, co z gęsłą przyszedł od cmentarza, by zagrać przy sobótkce wioskowej młodzieży, opowiadał stłumionym głosem, że ten rycerz, najdzielniejszy z rycerzy, wąską ścieżką ponad strugą jechał z wiernym swoim sługą, a później, wśród drzew ukryty, przypatrywał się, jak wryty; śledził dziewczki bacznym okiem ten nieznajomy młodzieniec, a potem szalonym skokiem z przystojnej dzielności chwałą pochwycił sierocy wieniec.

I jeszcze godzinę całą gwarzono o tem zdarzeniu. Innym się nawet zdawało, że jeszcze w gęstwinie cieniu widzieli postać rycerza. Tymczasem przy dziewcząt śpiewie i gędbie siwego dziada weseliła się gromada, wokoło ogniska wiodąc tany, lub skacząc przez stos, podsyćany suchym łodem. Jedna tylko ona była smętna, do tańca szła przymuszona i niekiedy spoglądała w stronę, gdzie rycerz przepadł bez wieści; lecz spoglądała daremno, bo tam było głucho, pusto i ciemno.

Nazajutrz był dzień świąteczny, zewsząd lud pobożny płynął w Pańskiej świątyni podwoje. Szli młodzieńcy w gwarnem kole, szły przodem strojne dziewczęta. Jedna z nich tylko na czole niosła smutek, sama, ubożuchno ubrana. W tem na szerokim gościńcu, co lipami wysadzony, usłyszano turkot kolas i tętent mnogich rumaków. Ludzie zdziwieni patrzyli, w dwie się

strony rozstąpili przed weselnym orszakiem junaków, co od złota kapał cały, a przed kościół zajechały pańskie poszóstne kolasy. W panu młodym, co na ognistym pisał bachmacie, wnet poznano starościca, pobliskich włości dziedzica, a dziarscy jego družbowie byli to okolicznych panów synowie. Ręczę z siodeł zeskoczyli i siostrę pana młodego z kolasy wysadzili. Lecz... rzecz dziwna, wielce dziwna, że w tym weselnym orszaku panny młodej ani znaku... Pan staroście, piękny młodzian, w biały, jak śnieg, żupan odzian, złote guzy u żupana, szabla w jaszczur okowana, a u boku przypięty wieniec z ruty i stokroci kwiatu. A kiedy wszedł do świątyni, znak krzyża świętego czyni i uklęknął przed ołtarzem. Wtedy siostra, jak malina, bratu wieniec ten odpina i... o niesłychane dziwy, do Haliny przystępuje: „Schyl główkę — rzeknie — nieboże, twojej cnoty klejnot złoty, twój wieniec niechże ci włożę“. Sierota osłupiała, coby to wszystko znaczyło, nie wiedziała. Rumieńcem spłonęły jej lica, oniemiała i, drżąc, jak gałązka osowa, szepotała modlitwy słowa. Gdy družbowie w tejże chwili niebogę poprowadzili na stopnie wielkiego ołtarza. Jako lilia biała, chwiejąc się, sierota stała, aż kapłan, wiekiem sędziwy i jak gołąbek siwy, uklęknąć jej kazał na biercu i oznajmił ludowi wzruszonym głosem, że szlachetny i bogobojny staroście zaślubia małżonkę, którą dziwnego zdarzenia losem sam Bóg wybrał jego sercu, a jest nią najskromniejsza i najcnotliwsza z dziewcząt, sierota Halina. I mówił długo a rzewnie pleban stary o Chrystusowej miłości bliźniego i na wieki związał dłonie młodej pary, i błogosławił, i sam się rozplakał, i wszystkim z rozrzewnienia łzy płynęły, i wszyscy błogosławili sierocie, zastępując jej ojca i matkę, którzy już dawno w grobie byli, ale że cnotliwy na tym świecie żywot wiedli, więc o tak wielką łaskę dla dziecka swego u Boga uprosili. I ludziom się zdawało, że wśród promieni jasnego słońca pod sklepieniami świątyni widzieli w górze jakieś modlące się cienie, które potem w bratnim spłynęły się uścisku; a były to cienie nie żyjących już rodziców dwojga sierot: Haliny i starościca.

I poszły smutne do dom postrojone córki gospodarzy; uboga zaś sierota w złocistej pojechała kolasie. Na zamku starościńskim przez tydzień cały gody weselne trwały, a w kole dostojnych gości była i starszyzna z włości. Od dziarskich tanów trzęsły się komnaty, po wiwatach szły wiwaty, na wałach zamkowych grzmiały moździerze i armaty. A gdy dnia ósmego cichy jasny poranek ozłocił cienisty sad zamkowy, słychać było w sadzie dźwięczną pieśń białogłowy:

Dawniej sobie śpiewywałam:
dana, ach dana, dana!
Dziś chociaż panią zostałam,
choć mam męża pana,
ale się pieśni nie wstydzę,
ni dawnego ubioru,
rada się przy pracy widzę
i wobec mego dworu.
Kto się sroma starych pieśni,
dawnych zwyczajów, strojów,
nie wart stąpać po swych niwach
i pić wody ze swych źródeł.

B I E D A.

Było sobie dwóch braci — jeden miał imię Hilary, drugi Szymon. Wzięli po ojcu gospodarkę dobrą, dom na dwie strony, pola i dobytku dostatek. Pożenili się i Bóg pobłogosławił ich dziatwą. Z początku szło dobrze obu braciom, ale później do Szymona przyczepiła się bieda. Żona i dziatki chorowały, krowa jedna zdechła, druga okaleczała, konie ukradli złodzieje, połowę

owiec wydusił wilk, a w polu, późno zasianem, zawitał nieurodzaj. Poczciwy Szymon płakał na widok chorej żony i głodnych dzieci, a że Hilaremu szło dobrze, więc począł u brata pieniędzy pożyczać. Ale Hilary był chciwy i zazdrosny, pożyczał niechętnie, a od pożyczonych liczył duże procenty. Gdy Szymon nie mógł mu z długu i procentów się wypłacić, Hilary zabrał Szymonowi gospodarkę i rolę, a dopłaciwszy kilkadziesiąt złotych, kazał mu wynosić się ze wspólnej chaty rodzinnej.

Za wioską pod borem stała nędzna, prawie bez dachu, rozwalająca się, pusta chałupa. Mieszkał w niej niegdyś żebrak jakiś, ale od czasu, gdy go w domu wilki zjadły, stała pustkami, bo głupi ludzie pletli, że w niej straszy duch nieszczęśliwego żebraka, i nikt do niej przyznać się nie chciał. Owóż Szymon wniósł się z żoną i dziećmi do tej lepianki i żył z wyrobku, a choć pracował, jak wół, to mu chleba nieraz brakowało. Co tylko zarobił, choć sam bywał nieraz głodny, poczciwy człowiek niósł wszystko żonie i dzieciom.

Trzy lata takiej nędzy wyniszczyły zdrowie Szymona. Postradał siłę, twarz mu wyżółkła, ciało wychudło. Serce jego, kiedy smętnym rzucił wzrokiem na nędzne swe dzieci, każdy raz, nowe dręczyły bole. Ale wpośród takiego nieszczęścia mieszkała prawdziwa cnota i kwitła miłość Boga. Nie opuścili oni żadnej modlitwy porannej, nie usnęli bez złożenia należnego hołdu Stwórcy i, choć trawieni głodem, nie szemrali nigdy na Niebo, ani na ludzi.

Jednej niedzieli, gdy Szymon powracał z kościoła przez wieś do domu, widzi przed domem swego brata pełno bryczek, wozów i koni osiodłanych. Powiadają mu ludzie, iż on przecie musi wiedzieć o zaręczynach córki Hilarego, która idzie za bogatego młynarza. „Chwała Bogu, pomyślał sobie poczciwy Szymon, będzie Hilary miał się jeszcze lepiej, to i mnie prędzej kiedy dopomoże. Wprawdzie dotąd odmawiał mi wsparcia, ależ i on ma kilkoro dzieci i dla nich zbiera grosiwo; pójdę dziś do Hilarego, u niego dziś uroczystość, samo

szczeście lgnie do jego domu, wydaje tak bogato córkę za mąż, Bóg skruszył zapewne jego twarde serce.“

Tak dumając, owiany dobrą nadzieją, wszedł Szymon na podwórzec Hilarego. A że przez okno zobaczył wiele gości, siedzących za stołem, żeby więc lichą odzieżą swoją nie zawstydził bogatego brata, wsunął się do sieni i usiadł w kąci. Hilary, przechodząc do kuchni, spostrzegł go, ale udał, że nie widzi. Wtedy Szymon rzekł:

— Mój panie bracie, dowiedziawszy się o szczęściu, jakie cię spotyka, przyszedłem ci ze szczerego serca powinszować, a pewny jestem, że mi dasz jaki zasiłek dla głodnych dzieci moich.

— Mój Szymonie—odrzekł na to Hilary,—przyszedłeś wcale nie w porę, gdy mam tyle zajęć i gości dom pełen. Staraj się sam i pracuj, a na cudze ręce nie patrz i na cudze mienie nie licz. To mówiąc, Hilary wyniósł z kuchni wielką kość z wołowej pieczeni i, podawszy ją bratu, kazał mu odejść z Panem Bogiem.

Szymonowi zakreśliły się łzy w oczach, wziął jednak kość do ręki, nasunął rogatą czapkę na czoło i wyszedł, nie myśląc, gdzie idzie i po co.

Za wsią pod lasem, w przeciwnej stronie, gdzie stała nędzna chata Szymona, płynęła rzeczka, do której mimowolnie Szymon przyszedłszy, stanął i spojrzał w wodę. Straszne myśli zaroily mu się w głowie. Szatan szeptał do ucha:—„Skocz biedaku do wody, w jednej chwili pogrzebiesz ziemską nędzę i wszystkie twoje kłopoty, zemścisz się na Hilarym, bo śmierć twoja zatruje mu sumienie.“

Ale Szymon był dobrym chrześcijaninem, więc się wzdrygnął na myśl o zbrodni samobójstwa i odpowiedział szatanowi:—„Idź precz kusicielu ode mnie! od Boga mam duszę, więc się na nią nie targnę, żony i dzieci nie zostawię sierotami po zabójcy! zemsty na Hilarym nie chcę, bom chrześcijanin!“ Tu w oczach stanęła Szymonowi ukochana jego cała rodzina, która pomarłaby z głodu w razie jego śmierci. Sam przed sobą wypierał się myśli samobójstwa, rzewnie zapłakał, ukląkł i począł modlić się, a jakiś anielski spokój, miłość, wiara i nadzieja

owiały jego zacną duszę. Po długim płaczu i modlitwie uspokoił się zupełnie i czuł tylko, że głód szarpie mu wnętrzności. Spójrział więc, gdzie leżała kość wołowa, bo na niej tu i ówdzie świeciły się kęsy mięsiwa. Chciał tę kość zanieść dzieciom swoim, ale zastanowił się, że żona będzie mu wymawiała, iż wyciągał rękę w domu brata po jałmużnę, psom tylko przystojną. Cofnął się zatem przed tą myślą i sam począł kość ogryzać.

Wtem obejrzał się Szymon, widzi przy sobie niby cień jakiś, niby widmo, a w rzeczy samej postać, strasznie chudą i bladą, cienką, jak tyczka od chmielu, postać, którą wyciąga do niego chude, długie ręce, a raczej kości, skórą powleczone, i rzecze:

— Szymonie! jam twoja wierna towarzyszka, *Bieda*, od trzech lat nie odstępuję ciebie ani na krok, zawsze głodna i spragniona, odziewam się w twoje łaachmany, dzielę się każdym kęsem twoim i dzieci twoich. I teraz, pozazdrościwszy ci kości, którą ogryzasz, żądam, byś i mnie do tej uczty przypuścił.

Szymonowi błysnęła myśl, aby *Biedę* pochwycić i w rzece utopić, ale widmo zmiarkowało to i rzekło spokojnie:

— Próżne twoje zamiary, nie mam ciała na kościach moich, woda i ogień są memi żywiołami i przyjaciółmi; lepiej udziel mi uczty swojej, to choć na chwilę cię opuszczę.

Szymon cisnął *Biedzie* w oczy kość, do szczytu ogryzioną, a złowrogie widmo, rzuciwszy się na nią i nie znalazłszy już ani odrobiny mięsa na wierzchu, poczęło chciwie wysysać szpik z wnętrza. A że rura była długa, więc *Bieda* wsunęła w nią jedną rękę, potem drugą, wetknęła głowę, i tak żrać szpik do dna, już prawie cała wpakowała się do kości, że tylko końce jej nóg naksztalt suchych badyli wyglądały.

Szymonowi przyszedł do głowy pomysł nielada, obejrzał się około siebie i, spostrzegłszy kawałek kołka, zastrugał z niego czopek i, wcisnąwszy do rury cienkie nogi widma, zatkał szybko czopem, zabił kamieniem i cisnął kość do rzeki.

W tejże chwili jakiś ciężar niedoli spadł mu z serca. Idzie Szymon przez wieś z dobrą miną, a tu witają go dawni sąsiedzi i obiecują dopomódz mu do założenia nowej gospodarki. W domu krówka porodziła dwa słiczne byczki, a nędzną lepiankę nawiedził młody staroście i, wzruszywszy się do głębi szlachetnej duszy nędzą Szymona, o którym słyszał, jako o poczciwym człowieku, wypyttywał o wszystkie szczegóły. Pożyczył Szymonowi zboża na zasiew i dziesięć dukatów na kupno konia, a roztropnego synka Józia wziął do dworu i kazał go uczyć czytać i pisać. Jednem słowem posypały się teraz na Szymona wszelkie pomysły, urodzaje i dobre zarobki, tak, że w rok miał już chatę porządną, na sobie nową sukmanę z pętlicami, nową kapturę na głowie, w stajni woły i konie, a w trzosie skórzanym kilkanaście bitych talarów.

Hilary zachodził w głowę, skąd taka dola zaświtała Szymonowi, zazdrościł mu jej okropnie, a że, o ile sam był bogatszy, o tyle stawał się chciwszy, więc nie wytrzymał i poszedł do brata, aby wybadać go, czy nie ma jakich tajemnych sposobów do sprowadzenia pomysłu.

Szymon, ujrawszy pierwszy raz w swym progno Hilarego, przyjął go gościnnie, za stołem posadził, pierogiem i plastrem miodu uczęstował, a zapytany o sposób do nabycia szczęścia, wyznał wszystko, że żadnego nie posiada. Ale przytem opowiedział całe swoje dziwne zdarzenie z *Biedą*, którą zagwoździwszy w kości, rzucił do rzeki pod lasem.

Hilary, wyszedłszy od brata, dręczony zazdrością, zwyczajnie jak człowiek chciwy i pozbawiony miłości chrześcijańskiej, ruszył czempredziej na brzeg rzeki do wskazanego miejsca i począł szukać kości, zabitej kołkiem. Długo brodził w wodzie, aż nareszcie z wielką radością kość wyszukał — i pewien, że gdy uwolni *Biedę* Szymonową, to zniszczy tem szczęście swego brata, silną dłonią kolek z rury wykręcił.

Aż tu, niby z procy, wyskakuje *Bieda* z wnętrza.

kości. Jak zacznie ścisnąć i całować Hilarego, wieszać mu się na szyi i wołać radośnie:

— O mój wybawco! o mój dobrodzieju! o mój królu najdroższy! już cię też nigdy nie opuszczę, będę twoją wierną towarzyszką do samego grobu!

Niewiele Hilary zważał na mowę widma, które w tejże chwili nie wiedzieć gdzie znikło; ale rzecz całą dopiero zrozumiał, gdy, powróciwszy do domu, dowiedział się, że pies wściekły pokąsał mu dobytek, że wilk podusił owce, a złodzieje skradli konie. W kilka też dni grad wybił do szczytu zboże na polu, a zapruszony z fajki ogień zniszczył domostwo i gumna. Nieszczęścia szły po nieszczęściach, Hilary wpadł w gorszą biedę, niż pierwaj Szymon, i do śmierci już żył w biedzie i nędzy, a byłby nieraz umarł z głodu, gdyby nie Szymon, który w imię miłości Chrystusowej przebaczył bratu, przyjął go do siebie i wspierał.

O MŁYNARZU I TRZECH JEGO SYNACH.

Był sobie młynarz i miał trzech synów. Gdy mu baba umarła, a synowie dorastali, postanowił każdego wyposażyc, a sam, stary, że mu jeno zbawienia duszy trzeba było, zostać pielgrzymem i obejść wszystkie święte miejsca na świecie. Więc pewnego dnia zwołał synów i mówi do nich: „Pójdę ja w świat, a wy myślcie każdy o sobie. Jeden niech młyn weźmie po mnie, a drudzy szukajcie innego chleba, tylko z Bogiem i pracą, bo bez Boga ani do proga, a bez pracy nie będzie kołaczy. Za dziesięć lat ja stary dziad na pagór za wsią powrócę

i usiedę pod gruszą, a wy tam wszyscy przyjdziecie i o doli swojej mi opowiecie.“—Najstarszy z nich tedy rzecze: „Ja pójdę za łowczego do pana bogatego“.—Średni: „Ja chcę być owczarzem“.—„A ty?“ pyta ojciec najmłodszego.—„Ej tatusiu kochany, ja zostanę na ojcowiznie, bo mi żal opuszczać waszej pracy; a choć młyn stary, ale kąt miły, tu się urodziłem, tu chcę żyć i umierać!“

I minęło dziesięć lat. Drogą od lasu idzie, podpieając się kijem, stary ojciec. Urosła mu długa biała broda i garb na plecach. Idzie prosto pod gruszę na pagór, z którego zobaczywszy wioskę swoją, ukląkł, zapłakał i świętą ziemię rodzinną ucałował. Tu od rana czekał prawie dzień cały, aż oto nad wieczorem toczy się gościncem kolasa pozłocista, w pięć dzielnych koni zaprzężona. Z kolasy wyskoczył pan w stroju bogatym, rozkazał służbie swojej pozostać na gościńcu, a sam pieszo poszedł w pole pod gruszę, gdzie staremu, nie jak ojcu, ale tylko jak znajomemu, po pańsku się uklonił.

Aż oto z drugiej strony widać na gościńcu jakieś piękne wojsko. Konnica z chorągiewkami miga w słońcu szabłami, a na przedzie wspaniały król jedzie. Koronę ma na głowie, jako miesiąc z gwiazdami, a biały jak mleko koń pod nim krzesze ognia srebrnymi podkowami. Król wojsko zatrzymał, kazał odjechać na stronę, sam podjechał, zsiadł z konia, obejrzał się, czy go kto nie widzi, i poklepał po ramieniu starego ojca.

— Aha, toście oba przybyli—rzeknie stary młynarz,—ale widzę, że się mojej siermięgi wstydzicie!

A oto drogą od dawnego młyna idzie sobie jakiś chudziński. Kubrak na nim połatany, na nogach łapcie dziurawe, na głowie kapelusz słomiany. Bogaty pan i król, poznawszy w nim swego najmłodszego brata, odskoczyli od niego i mówią na ucho jeden do drugiego: „A to piękna nasza rodzina, każdy wisielca przypomina.“ Ale stary, obaczywszy najmłodszego syna, uradował się okrutnie. Biedzie jego się nie dziwował, ale płakał, ścisnął i całował. Ubogi syn rozrzewnił się, jak dziecko, chwycił ojca za kolana: „Tatusiu kochany—mówił,—

oni się przynajmniej dorobili, każdy z nich wyszedł na pana, a ze mnie biedak wierutny.“

— Nie płacz, najmłodszy synu—odpowie ojciec,—jeszcze nie wiem, jaką drogą doszli oni do swego dobra?—Tu starzec poprosił wszystkich trzech, aby kolejno każdy opowiedział mu wszystko, co tylko przez dziesięć lat porabiał i jakie przechodził koleje.

— Jakeście tylko, ojczu, odeszli na pielgrzymkę—zaczął mówić najstarszy,—ja, lubiąc zawsze ptaki łowić i za zwierzem gonić, poszedłem do jednego wielkiego pana na łowczego. Dobrze mi było, miałem dworek myśliwski w lesie, gruntu i łąki kawał. Aż oto pewnego razu, idąc przez knieję, widzę ognisko rozpalone, a dookoła niego posilających się dwunastu zbójców. Pytam się, kto im pozwolił w pańskim lesie polować i ognie palić? A oni mnie opadli, najprzód zabić chcieli, a potem mówią: „Darujemy ci życie, ale przystań do nas za zbója i pokaż, gdzie pan ukrywa w zamku swoje skarby.“ Poskrobałem się w głowę i myślę sobie: cóż robić, mają mnie zabić, toć lepiej pochodzić z nimi niedziel kilka. Teżże samej nocy poszliśmy do zamku pańskiego. Pod groźbą śmierci musiałem im pokazać, któredy dostać się do pańskich komnat najsadniej. Gdy się tam wdarli cichaczem, zamordowali pana i panię, jeno darowali życie ich córce jedynaczce, bo była dziwnie pięknej urody. Pytają się mnie, gdzie mogą być skarby ukryte? Odpowiedziałem, że najprędzej w lochach zamkowych, do których niechaj idą, a ja będę stał na straży i panienki, żeby nie uciekła, pilnował. Zbóje poszli lochami daleko, a ja na brzeg lochu z panną słomę nanosiłem, potem słomę zapaliłem, zawarłem drzwi żelazne od lochu i na wrzeczadze zamknąłem. Słychać było tylko krzyk i jęki, ale niedługo, bo się niebawem wszyscy zbóje w srogim dymie podusili.

Panna została w mojem ręku; powiedziałem jej, że musi być moją żoną, więc ona w płacz. Ale nie było rady; rodzice i służba zamordowani, na cały zamek tylko ja i ona, więc, jak wilk z owieczką, mogłem czynić, co mi się żywnie podobało. Powiedziałem jej, że tylko

mnie zawdzięcza ocalenie swego życia, a wyboru innego nie ma. Więc podąsała się kilka niedziel, ale w końcu jakotako ze swoim losem się pogodziła i do mnie przyzwyczaiła. A że panna była okrutnie bogata, puszcze i włości miała niezmierne, a skarby w zamku nieprzeliczone, więc żyjemy sobie, jak książęta, i tylko ptasiego mleka nam brakuje.

Stary młynarz westchnął tylko, pokiwał głową, i wezwał średniego syna, żeby opowiedział swoją historię.

— Jakeście tylko, ojczu, poszli na pielgrzymkę do miejsc świętych—rzeknie syn średni,—ja, według mego upodobania, zgodziłem się do jednego wielkiego pana na owczarza. Owce wiodły mi się szczęśliwie; bywało, gdy wygonię na pole, to mam ich, jako gwiazd na niebie, albo mrówek na mrowisku. Ale wybuchła wielka wojna i mój pan, rozkazawszy mi, abym z owcami jego ukrył się w głębokiej puszczy, sam, zebrawszy liczną drużynę dworzan i pacholków, wsiadł na koń i od żony i dzieci na daleką wojaczkę pojechał. Dochodziły niepewne wieści, że w wielu bitwach ciężko ranny zginął na końcu. Żona jego ze zmartwienia pomarła, a dziećmi opiekował się tylko pewien stary sługa. W kraju całym zapanował głód wielki, bo nieprzyjacieli wsie popalił, a lud, kryjąc się po lasach, już trzeci rok pół zbożem nie obsiewał. Ja tymczasem, znalazłszy w nieprzebytej puszczy taką kryjówkę, o której nikt nie wiedział, siedziałem, jak u Pana Boga za piecem. Doilem tylko z owczarkami owce mleko i wywoziłem na sprzedaż, dostając od zgłodniałych za ten posiłek garściami srebro i złoto. Co dni kilka zarznięliśmy sobie tłustego barana i ucztowali, jak za najlepszych czasów nie bywało. Tym sposobem nabierałem złota pełną dziuplę w starym dębie i w dwie wypróchniałe lipy nasypałem srebra.

Aż tu wieść przychodzi, że wojsko pewnego króla, który przeciw memu panu wojował (a król ten w bitwie także poległ), przeprawiając się przez puszcze, zbłąkał, z głodu i wycieńczenia umiera. Myślę sobie: znajdując pewnie moją kryjówkę, owce zabiorą, a jeszcze daj

Boże, żeby bez guzów dla mnie się obeszło,—więc czy na tem co nie zarobię, gdy z dobrej woli zostanę ich dobrodziejem. Jakoż nazajutrz, zdjawszy owczarską opończę, a włożywszy sutą bekieszę, którą od jednego bogatego, ale głodnego kupca za owcze mleko dostałem, wybrałem się do tego wojska. Biedaki już trzy dni żyli bigosem z cholew od własnych butów. Więc gdy powiedziałem, że przybywam im na pomoc, że sto baranów im daruję i z puszczy na pewne szlaki wyprowadzę, powstała wielka radość i wodzem swoim mnie okrzyknęli. Tak powędrowałem z nimi do ich kraju, karmiąc głodomorów baraniną i zabierając po drodze, co się jeszcze zabrać gdzie dało. A byłem dla wszystkich wielce łaskawy, co się im bardzo podobało.

W ich kraju została teraz królowa stara i szpetnego lica siostra po zabitym królu, dla której męża szukano. Przyjęła ona mnie łaskawie, za dobrodziejstwa wyświadczone jej wojsku pięknie podziękowała i marszałkiem swojego dworu mianowała. Byłem tedy marszałkiem, ale nie zasypiałem gruszek w popiele. Mając złota i srebra w onej puszczy dosyć, miałem i przyjaciół wielu. Lecz wyniosłem ja z tej puszczy skarb jeszcze większy, bo w kniei, gdzie przedemną ludzka noga nie powstała, znalazłem cudowne ziele, *lubczykiem* nazywane. Zadałem więc on lubczyk królowej w winnej polewce, a gdy polewkę spożyła, taką miłością do mnie się zapaliła, iż ani sypiała, ani jadła, tylko na mnie patrzyła i do mnie gadała, a w końcu ożenić się z sobą rozkazała. Takim sposobem z owczarza wyszedłem na króla i mo-carza.

Stary młynarz westchnął tylko głęboko, pokiwał smutnie siwą głową i dał znak najmłodszemu synowi, aby o swojej doli teraz opowiedział.

Najmłodszy otarł lzy rękawem od kubraka i tak opowiadać zaczął:

— Oto jakeście, tatusiu, odeszli ze wsi, ja wziąłem się do naprawy starego naszego młyna. Pozbierałem, gdzie tylko zostały przez was przygotowane na to kawały drzewa; od dobrych ludzi, którzy zboże do mły-

na przywozili, dostałem trochę desek, resztę pożyczyłem lub dokupiłem—i tak w ciągu roku przy mozolnej pracy, własną ręką wyporządziłem wszystko, co się zowie, że ludzie młyna naszego poznać nie mogli. Jednej tylko jeszcze grobli przy stawie i rzece nasypać wyżej nie zdołałem. W porządnym młynie wszyscy woleli młéc zboże, niż gdzieindziej, więc zawóz miałem coraz większy; dług spłaciłem, chleba miałem kawałek dostatni i nic mi już w domu nie brakowało, oprócz kochanej żony.

Ludzie raili mi i swatali dziewczki rozmaite, ale żadna z nich nie przypadła mi do serca, tylko jedna Stachna, córka porządnego gospodarza z wioski sąsiedniej. Nie miała ona wiana większego od innych, ale była dziwnie gospodarna i pracowita, skromna i pobożna. Nigdy w kupnej odzieży nie chodziła, tylko w takiej, którą sama wyrobiła; stroić się nie lubiła, w karczmie nigdy nie bywała, czytać i pisać umiała, ojca, matkę i starszych szanowała, starodawnych pieśni bez liku pamiętała, które głosem słowiczym zawodziła, za co ją cała wiejska gromada wielce lubiła. Była prztem pięknej urody, miała włos jasny i rumiane jagody. W dzień nie jadłem, w nocy nie spałem, tylko o niebodze myślałem, aż w końcu prosić o nią do jej rodziców się wybrałem. Przyjęli mię życzliwie, dziewczynę zawołali, zapytali i wydać obiecali. Byłem tam u nich cały wieczór szczęśliwy, jako w niebie, ale noc była późna i czas powracać do siebie. Gdy wyszedłem za wioskę, zagrzmiało, zahuczało, oświeciła chmury błyskawica i nadeszła straszna nawałnica. Wichry wyrwały stare drzewa, piorun uderzał po piorunie i nastąpiła ulewa, jak potop. Patrząc oto świeci luna od złowrogiego pioruna; młyn cały już w ogniu stoi. Rzeka straszliwie wezbrała, most zniosła, groble zerwała—i czego nie zniszczyła pożoga, dokonała powódź sroga. Gdzie był młyn, stawidła, tam, ziemia pozostała sama i nic więcej.

Rozpacz ogarnęła mię tak wielka, że poszedłem nad bystry nurt rzeki i życie odebrać sobie chciałem; ale gdy w głębie wody spojrzałem, zdało mi się, że waszą twarz tam widzę, że wy, tatusiu, surowo na mnie patrzy-

cie i samobójcy przekleństwem swoim grozicie. Myślę sobie: jak przyjdziecie z waszej pielgrzymki po świecie, osiwały i strudzony, jakże ciężki żal was zdejmie, gdy nie poznacie swojej rodzinnej strony, nie znajdziecie swego młyna, ani nawet grobu syna. Więc się samego siebie zawstydzilem, ukląknę, przeżegnałem się i pacierz zmówilem.

O żeniactwie już mowy nie było, zostałem sam, jak palec goły; ale nie szemrałem, mówiąc sobie: „Niech się dzieje wola Tego, co świat Jego.“ Z piasku powyciągałem niedopałki i spróchniałki, norę pod górą wykopałem i ziemiankę zbudowałem. W niej, jak pustelnik, żyję, sam jeść warzę, odzież sobie uszyję, na kęs chleba i sól u ludzi zarobię, a często chodzę nad brzeg rzeki i na wędkę ryby łowię.

Starzec siwy nie westchnął, ani smutnie kiwał głową, ale uśmiechnął się do syna i rzekł mu: „Ty jeden będziesz szczęśliwy; ale nim oddam Panu Bogu duszę, udzielię wam wszystkim ojcowskiej rady i pobłogosławię raz ostatni muszę.“

Wtedy syn najstarszy i średni, ów pan i ów król, rzekną do ojca: „Bez waszej rady dorobiliśmy się wielkich bogactw i znaczenia na świecie, więc schowajcie ją dla najmłodszego brata, który najwięcej rady potrzebuje. Sami możemy wam dać pieniędzy, żebyście z głodu nie pomarli, a błogosławieństwa w tem miejscu, gdzie na nas patrzy wojsko i służba nasza, także przyjąć nie chcemy, żeby się nie dziwowano—i tego, żeśmy synami takiego biedaka, nie poznano.“

Stary zatrząsł się na wzmiankę o pieniądzach, które dać mu chcieli, bo one z nieprawego ich dorobku pochodziły. Więc król i pan, poklepawszy go tylko po ramieniu i oddaliwszy się do swej służby i wojska, odjechali dwoma gościńcami.

Najmłodszy syn został przy ojcu i mówi: „Tatusiu najmilszy, chociaż nie nie mam, ale pójdźcie do mojej ziemianki; wypoczniecie po dalekich drogach i spożywać będziecie ze mną mój suchy kawałek chleba.“

— Mój synu najukochańszy — odpowie ojciec. — z tobą już nie pójdę, bo zbliża się moja ostatnia godzina życia. Uprosiłem u Pana Boga, aby pozwolił mi w rodzinne strony powrócić, was wszystkich raz jeszcze zobaczyć i na ziemi, gdzie się urodziłem, strudzone kości złożyć. Gdy umrę, tu mnie pochowasz pod tą gruszą, mogiłą usypiesz i krzyż na niej postawisz. A teraz błogosławię cię w Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, na teraz i na potem, i ciebie, i potomstwo twoje, i mienie, i domostwo twoje, co wszystko mieć będziesz, to szczęśliwym i dostatnim jeszcze zostaniesz. Bo gdy w pielgrzymce mojej, zawędrowawszy do Ziemi Świętej, tam modlił się gorąco do Boga o szczęście dla synów moich i, utrudzony daleką podróżą, zasnąłem po modlitwie, ukazał mi się we śnie anioł w białej szacie i powiedział: „Tylko jeden z synów twoich szczęśliwy będzie, ten, który cudzego mienia nie pożądał, który z pracy rąk własnych żyje i starość ojca uszanuje.“ Gdyście wszyscy trzej opowiedzieli mi swoje losy, widzę, że jeno ty jeden będziesz napewno szczęśliwy.

To powiedziawszy, starzec Bogu ducha oddał, a syn najmłodszy zamknął mu powieki, ręce i nogi ucałował, rzewnie zapłakał i pod gruszą pochował, usypał mogiłą i krzyż nad mogiłą postawił. Gdy w kilka dni potem siedział na brzegu wody i łowił ryby na wędkę, zaczepił mu się haczyk o dno rzeki. Sądził, że zaczepił się o wodne ziele lub korzeń drzewa, pociągnął zlekka do góry i wydobyl pierścień, lśniący od złota i drogich kamieni. Z ciekawością obejrzał klejnot, ale nie myślał, żeby ten pierścień posiadał wielką wartość. Młynarz nie znalazł na drogich kamieniach, więc myślał, że to są szkiełka zabarwione. Dopiero gdy wieść o tem rozeszła się po wiosce, ludzie przypomniaли sobie, że przed pół wiekiem pewien pan bogaty utonął w tej rzece, załamawszy się z karocą na starym moście przy młynie, i dopiero w kilka dni potem wyłowiono jego ciało, ale było przez ryby ogryzione i bez pierścienia na palcu. Syn owego pana żył jeszcze dotąd, więc, na wiadomość o znalezieniu pierścienia, zaraz przybył, klejnot rodzinny poznał i dał zań

młynarzowi nietylko drzewa na młyn nowy, domostwo i upusty, ale także tyle pieniędzy, ile było potrzeba na zrobienie mocniejszej, niż dawna, grobli i urządzenie całego gospodarstwa.

Młynarz odrazu stał się szczęśliwym i zamożnym człowiekiem, wszystko w ciągu roku pobudował, za szczęście swoje Panu Bogu dziękował. Na mogiłę pod krzyż i starą gruszę chodził często zmówić pacierz za ojca duszę i drugi krzyż nad rzeką postawił, tam, gdzie omal życia się nie pozbawił. Na młynie szło mu snadnie, bo uczciwemu młynarzowi, który zboża nie kradnie, ludzie zewsząd wieźli ziarno do kosza. Więc w krótkim czasie zaczął przychodzić do grosza; ożenił się z jedną poczciwą dziewczyną, a Bóg uszczęśliwił ich kilkorgiem pięknych, zdrowych i grzecznych dzieci.

Gdy, siedząc przed domem na przyźbie, razu pewnego strugał do młyna palce z drzewa grabowego, psy ujadać zaczęły przed wrotami. Patrzy, a tu idzie dwóch dziadów w łachmanach: jeden ślepy, drugi podpira się kulami; obydwu wynędzniali, sama skóra i kości. Młynarz przygląda się im lepiej i wiary oczom nie daje, ale w końcu braci rodzonych poznaje. Woła żonę i dzieci, sam się z nimi wita, każe przynieść posiłek i ciekawie pyta, co to wszystko ma znaczyć, skąd losu odmiana, gdzie korona i skarby, co za straszne nieszczęścia spadły na ich głowy? Więc naprzód brat najstarszy, ów dziedzic zamkowy, tak zaczął opowiadać:

„Gdy zbóje zamordowali pana i panią, u których za łowczego służyłem, a ja ich, zaparlszy w zamkowym lochu, dymem wydusiłem, jeden z nich, który miał w ręku pochodnię ze światłem i nie uciekał jak inni do zapalonej przy drzwiach słomy, ale w głąb lochu, znalazł szczęśliwie wyjście, zawałone kamieniem, i tedy ocalił swe życie. On jeden wiedział tylko, że ja zbójom powiedziałem, jaką drogą do komnat pańskich dostać się mogą; więc za żebraka przebrany przyszedł raz w zamkowe ściany i żonie mojej wszystko wyjawił, o czem ona nie wiedziała, bo zawsze jeno myślała, że ja do zamku na odsiecz przybyłem i życie jej ocaliłem. Wtedy taje-

mnym gniewem zapalała i przez tego żebraka listy do braci stryjecznych wysłała, którzy niespodziewanie z licznym poczem zbrojnego ludu przybyli, oczy mi wyłupili i z zamku jak psa wypędzili.“

A teraz brat średni, który z owczarza wyszedł na króla i mocarza, a z króla na kulawego dziada, taką historię młynarzowi o sobie opowiada:

„Zostawszy królem, nie potrzebując już łaski ni-czyjej, myślę sobie: trzeba się wziąć krótko do moich poddanych. Będąc dawniej owczarzem, strzygłem dwa razy do roku owce i barany, a pan mój sprzedawał wełnę. A że poddanych miałem więcej teraz, niż dawniej owiec i baranów, więc jeżeli co pół roku głowy wszystkim ogolić każe, to za zebrane włosie dostanę złota po dużym stosie. Więc dalej golić każe; a królowa, z tego rozkazu nierada, do nóg mi pada, prosi i kwocze, bym choć białogłowom pozwolił zostawić ich warkocze. Ty głupia babo—mówię jej grzecznie,—toć ja właśnie najwięcej liczę na długie kosy dziewicze.—Ostrzyżono tedy cały lud mój co do nogi, ale powstał z tego lament srogi. Biegano i płakano, bo każdy miał łeb goły, jak kolano. Ja, wzięwszy się pod boki, do rozpuku się śmiałem, bo nie przewidywałem, co później z tego będzie. Lecz że za te ich kędziory wzięłem dukatów dwa wory, więc gdy ubiegło pół roku taki sam rozkaz wydałem. Ale wtedy te gałgany, zebrawszy się w tłum niesłychany, łbów golić sobie nie dali, jeszcze mi nawymyślali i, rebelię uczyniwszy, srodze mi skórę strzepali. Skarby moje do ena wzięto i złamano przytem nogę, a potem za drzwi wypehnięto, dając kulaka na drogę.“

— Oto wielka kara Boża dla was,—moi braciszkanie — rzeknie młynarz do starszych braci,—kara za to, żeście cudzego dobra pożądali, rad starego ojca nie słuchali i błogosławieństwem ojcowskiem wzgardzili. Teraz, moi bracia mili, chcę, żebyście tu zostali, codzień na grób ojca chodzili, modlili się i płakali, przebaczenie uprosili. Bo bez tego przebaczenia nie będzie w niebie dla duszy zbawienia.

O chorej matce i trzech jej córkach.

W ubogiej chacie mieszkała stara wdowa z trzema córkami. Wszystkie były dziewczki, jako łanie, jak krew z mlekiem, niewinne, jako lilijki w ogródku, a wesołe, jako młode kotki lub ptaszki na wiosnę.

Pewnego razu wdowa zapadła w ciężką niemoc; więc płacz dziewcząt rozlegał się daleko. Żeszły się do łóża chorej stare kumy i znachorki, a każda dawała inną radę lub inne przynosiła leki. Ale nic nie pomagały ani zioła rozmaite, ani tajemne praktyki starych niewiast. Niemoc wdowy powiększała się z dniem każdym, a ludzie patrzyli już na dziewczęta, jako na sieroty.

Aż oto pewnego wieczora zapukał ktoś do drzwi, a gdy je odparto, wszedł do izby dziad siwy, jak gołąb, z długą na trzy piędzie białą brodą, którego dziewczęta posadziły w rogu na ławie i, jak Bóg przykazał, poczęstowały chlebem i solą, co na stole przysłonięty białym obrusem leżał. Dziad niby to o niczem nie wiedział, więc się o chorobę wypytywał, a potem rzekł do wdowy:

„Za trzecią górą i za trzecią rzeką, w środku ciemnej puszczy, jest źródło czyste i zimne, z którego tylko piją ptaszki i zwierzę dziki, a którego woda cudownie leczy wszelką niemoc ludzką. Poślij, matko, którą z córek swoich po wodę do tej cudownej krynicy, a ona uzdrowi cię niezawodnie.“ To poradziwszy, starzec z długą brodą opuścił chatę, a wdowa wysłała zaraz najstarszą córkę z dzbanem za trzecią górę i rzekę do wskazanego źródła.

Dziewczyna idzie i idzie, a nadzieja przyniesienia pomocy chorej matce dodaje jej siły i odwagi. Minęła górę pierwszą, drugą i trzecią, przeszła brodami trzy rzeki, weszła w bór ciemny i stanęła wreszcie nieboga u owego źródła. Ale gdy schyliła się, by zimnej wody

dzbanem zaczerpnąć, ukazał się nagle w głębi studzienki straszny potwór. Był to ni smok, ni wąż, ni dziad, z sążnistą brodą i wąsami, i zawołał głosem chrapliwym:

Pięć łokci wąsa, na sążeń broda!
Chcesz wody dostać, dziewczyno młoda,
to mi musisz ślubować,—
wtenczas możesz wodę brać,
dziewczyno młoda!

Dziewczynie ze strachu włosy stanęły dębem na głowie; cofnęła się od studzienki, a dzban, upuszczony z drżącej dłoni, rozbił się w mak o kamienie. Powróciła tedy smutna do domu, chorej matce w oczy spojrzeć nie śmiała i powiedziała tylko, że na śliskiej ścieżce dzban rozbiła.

Chora wdowa wyprawiła wtedy córkę średnią, ale i ta, gdy przybywszy do źródła, chciała z cudownej krynicy zaczerpnąć, wynurzył się nagle ten sam potwór i mruknął chrapliwym głosem:

Pięć łokci wąsa, na sążeń broda!
Chcesz wody dostać, dziewczyno młoda,
to mi musisz ślubować,—
wtenczas możesz wodę brać,
dziewczyno młoda!

Gdy i średnia córka wody uzdrawiającej nie przyniosła, tłómacząc się tak samo, że na kamienistym gościńcu dzban stłukła,— Marylo! — rzekła matka do najmłodszej dziewczki,— weź dzban nowy i wędruj za trzecią górę i trzecią rzekę do źródła. Jeszcze chora słów tych nie dokończyła, gdy Maryla troje stać już ubiegała. I pędziła, niby sarna, przez góry i rozdoły, aż oto, resztek sił dobywając, przybyła do źródła pośród puszczy.

Pięć łokci wąsa, na sążeń broda!
Chcesz wody dostać, Marylo młoda,
to mi musisz ślubować,—
wtenczas możesz wodę brać,
Marylo młoda!

zawołał wstrętnym rykiem okropny potwór, wychylając nagle swój wielki łeb z głębin źródła. Młoda dziewczyna zbladła, jako chusta, drżała, jak liść osiczyzny, ale rzekła stanowczo: „Będę ci ślubowała.“ Potwór kazał wtedy, aby nazajutrz przed wschodem słońca przybyła w to samo miejsce, i znikł w studzience, a Maryla z pełnym dzbanem wody chyżo pomykała ku domowi. Gdy stanęła u łóżka chorej matki, ta do bijącego serca przytuliła silnie najmłodsze swe dziecko, łzy wdzięczności potoczyły się na złote kosy Maryli, nachyliła do ust swoich dzban z napojem i powstała z łóżka boleści, ani wiedząc, ani domyślając się, jak wielką ofiarą tej dziewczyny było okupione jej zdrowie.

Zły duch szeptał do ucha niebodze, doradzając, żeby nie dotrzymała przyrzeczenia, danego potworowi, i nie śpieszyła do onej puszczy. Ale Maryla szanowała dane słowo swoje i lękała się o zdrowie matki, więc całowała jej nogi, nie nie mówiąc, że wprędce może na wieki rodzinny dom ma opuścić, może raz ostatni ucałować jej stopy, raz ostatni posłyszeć słodki głos swojej rodzicielki! Żal zabił jej mowę, a łzy tłumiły oddech, a macierz myślała, że są to tylko oznaki radości.

Noc już zapadła, Maryla czekała tylko, aż zaśnie matka, by udać się w straszną drogę, gdy wtem zapukał ktoś do chaty i pod drzwiami odezwał się głos niemiły:

Pięć łokci wása, na sążeń broda!
Otwórz mi chatę, Marylo młoda;
mnie ślubowałaś, mojąś wodę piła,
Marylo miła.

Maryla struchlała, ale drzwi śmiało otworzyła. Wtoczył się wtedy do izby obrosły sążnistemi kudłami potwór i zamruczał chrapliwie:

Pięć łokci wása, na sążeń broda!
A nakryjże stół, Marylo młoda;
mnie ślubowałaś, mojąś wodę piła,
Marylo miła!

Gdy Maryla przyszykowała do wieczery, potwór bełkotał:

Pięć łokci wása, na sążeń broda!
Siadaj jeść ze mną, Marylo młoda;
mnie ślubowałaś, mojąś wodę piła,
Marylo miła!

Maryla postawiła przed nim misę z jagłami, a gdy się obrzydłe potworzysko nażarło, znowu zaskrzeczało:

Pięć łokci wása, na sążeń broda!
Pościel mi łóże, Marylo młoda;
tyś mnie ślubowała, moją wodę piła,
Marylo miła!

Maryla, blada i drżąca, posłała łóże. Gdy oto... przebóg! Potwór przemienił się w królewicza, a ten królewicz jasno-włosy, jako miesiąc na nowiu, jak sokół, stał cały w blasku od zbroi złocistej. Dzielny i urodziwy młodzian opowiedział teraz wszystkim, iż przytem źródle zakłęła go w potwora dziewica za to, że ją chciał uwieść, zakłęła do czasu, aż znajdzie się taka, co dobrowolnie odda rękę obrzydliwemu straszysłu. Tak zakłęty całe sto lat pokutować musiał...

W miejscu ubogiej wdowiej chaty stał wspaniały zamek królewski. Wdowa błogosławiła Marylę i królewicza, którzy przed nią na kobiercu ślubnym kłęczeli. Po ślubie dobrana królewska kapela zagrała poloneza weselnego i była uczta, jakiej ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało.

I ja tam byłem,
miód, wino piłem;
po brodzie kapało,
w gębie nie pozostało.

O CHŁOPIE W NIEBIE.

Szedł sobie chłop drogą i, napotkawszy zbiedzonego wędrowca, rzecze doń: „Mój bracie, musisz być głodny, więc chodź do mnie na obiad; nie jestem ja bogacz, ale czem chata bogata, tem będzie podróżnemu rada.“— I przyprowadził nieznajomego starca pod swoją strzechę i posadził w rogu izby za stołem, a baba zastawiła misy z obiadem. Gdy społem, przeżegnawszy się, spożyli i Panu Bogu za dary Jego podziękowali, człowiek wędrowny odezwie się w te słowa:

„Mój gospodarzu, zaprosiłeś mnie na obiad dzisiaj, to ja poproszę ciebie na jutro. W samo południe stanie tu przed twoją chałupą mój koń, a gdy zarzy, nie nie pytaj, tylko dosiadaj bieguna i, nie zatrzymując się nigdzie, jedź, gdzie cię koń poniesie.“

Jakoż nazajutrz, gdy nadeszła południowa godzina, zatętnił kopytami dzielny biały rumak i, stanawszy przed domostwem kmiecia, zarżał dźwięcznym głosem, którego echo rozległo się po całej okolicy. Chłop, miarkując po koniu, że do jakiegoś znacznego domu zaproszony został, ubrał się świętecznie w żupan szamerowany, pas i granatową rogatywkę z białym baranem, wziął tabakierkę, krzesiwo i różaniec i, przeżegnawszy dom, dzieci i siebie, a przyklepawszy rogatywkę na bakier, na prawe ucho, dosiadł rażno wierzechowca, który kopnął się z miejsca cwałem.

Zniknęła mu wkrótce wioska rodzinna z przed oczu, migaly bory i wody, koń pędził jak wiatr szybko, aż roztoczył się przed nim obraz nieznajomego kraju,— a był to drugi świat. Koń parska i kłusuje gościńcem, gdy oto zdziwiony chłop zobaczył nagle dwie kobiety, które wplecione w płot krzyczą w niebogłose, aby stanął i z płotu je wydobył. Ale kmieć, pomny na przykazanie wędrowca, aby się nie ważył zatrzymywać, choć żał mu się biedaczek zrobiło, jedzie dalej. Leczą oto o kilkoro

staj zobaczył znowu babę, która, wpadłszy do studni, a nie mogąc się z niej wygramolić, błaga, żeby ją wyratował. Ale kmieć zaciął tylko rumaka. Aż tam znowu bodły się okropnie dwa woły i krzyczano, żeby jeździec ich rozpędził; ale i tego nie usłuchał. Tak jadąc dalej, widział znowu człowieka, któremu ścięte drzewo przygniotło jedną nogę. Biedak błagał pomocy do wydobycia nogi, jęcząc z bólu, ale błagał nadaremno. A potem przejeżdżał chłop koło dębu, przy którym na postronku uwiązany był człowiek bardzo głodny. Tuż przed nim leżały kołacze, na gałęziach wisiały kiełbasy, których miła woń lechtała jego nozdrza i podniebienie, zwiększając męczarnie, lecz których dosięgnąć nie mógł i, trawiony głodem, obgryzał zakrwawionemi usty twardą dębową korę. W dalszej drodze widział, jak w gęstej trawie pasły się nędzne, chude owce, a na piaszczystym polu chodziły tłuste i spasione.

Aż tu spotyka niewiastę, która, choć skromnie ubrana, podobna była do królowej. W obliczu jej dobroć anielska widniała, a ona kwiaty po polu zbierała i słodkim głosem pieśń pobożną zawodziła. Ta niewiasta zaprowadziła chłopą do nieba, gdzie przywitał go i za stołem niebieskim posadził ów mizerny wędrowiec,— a był to sam Pan Jezus.

Chłop zrazu osłupiał, ale Chrystus ośmielił go swoją dobrocią i teraz mu wszystko wytłómaczył.

„Choć sam nie jesteś bogaty—mówił doń,—ale zaprosiłeś biednego podróżnika pod swą strzechę; za to spożywasz dzisiaj obiad w niebie. Do nieba jechałeś przez czyściec, a te dwie kobiety, w płot wplecione, któreś najprzód zobaczył, były to pokutnice, które za życia na ziemi cudze płoty łamały sobie na ogień. Baba w studni pokutowała za to, że za życia, posiadając dobrą i obfitą wodę w studziennce, nie dawała jej swoim sąsiadom. Dwa ciągle bijące się z sobą woły byli to dwaj swarliwi sąsiedzi, którzy za życia pieniali się tylko po sądach wzajemnie. Człowiek, który daremnie usiłował wydobyć nogę, przywaloną ciężkim kłosem, kradł za życia drzewo w cudzym lesie i syna swego nauczał tej zło-

dziejskiej zasady, że drzewo kraść, to mniejszy grzech, niż co innego. A ten, co uwiązany na powrozie, polykając oczami pierogi i wędzonki, ogryzał z głodu korę dębu, łamiąc na niej zęby, był to nieczuły i skąpy syn, który sam jadał smaczno, a starych rodziców swoich karmił spieczoną skórą chleba. Gromada chudych i wiecznie głodnych owiec w bujnej trawie były to duże szkodników i ludzi chciwych, którzy wypasali łąki i zboża drugim i zawsze cudzego pożądali. A stado tłustych i sytych na piaszczystym polu — były to duszyczki ludzi miłosiernych, uczynnych i gościnnych, które już u bram niebieskich spotkałeś. A ta niewiasta, skromnie ubrana, zbierająca po polu kwiaty i śpiewająca pieśń pobożną anielskim głosem, to Najświętsza Maryja Panna, królowa ziemi i Niebios.“

JALMUŻNA.

Szedł sobie ubogi dziadek przez wieś po proszonym chlebie i zaszedł do Błażejowej. A Błażejowa była to kobieta skąpa i chciwa. Kawałka suchego chleba dziadkowi nie dawszy, jeszcze go wyfukawszy i nie odpowiadawszy nawet „na wieki wieków amen“, albo żeby go Pan Bóg opatrzył, z izby swojej wypędziła. Dziadek, który chodził, jak zwyczajnie, od chałupy do chałupy, psom się kijem opędzając, zaszedł wpodłe do Janowej. A Janowa ta była dobra białogłowa i miłosierna, więc gdy ujrzała białego staruszka, zaraz dwie kromki chleba, dopiero masłem posmarowane, odebrała dzieciom od gęby i onemi dziadowinę obdarzyła, mówiąc, by go Pan Bóg czem lepszym wspomógł, bo ona niebogata, nic więcej dać mu nie może.

„Bóg ci zapłać, miłosierna niewiasto! Oby cię Bóg

w dziesięcioro obdarzył, a co *zacznieś dziś robić, byś do zachodu słońca ledwie skończyła.*“ — To dziadek rzekłszy i pochwaliwszy Pana Boga, wyszedł z chaty, a baba poczęła rozważać ostatnie jego słowa, ale nie mogła zrozumieć ich znaczenia.

Janowa była sobie biedna i do tego wdowa, tylko pracowita, oszczędna i gospodarna; wódki nigdy nie piła, jednej godziny czasu nigdy nie zmarnowała, a dzieci żywiła i odziewała z wyrobku rąk własnych. Ponieważ pola nie miała, tylko chatkę, więc na wiosnę przysiała sobie u Błażejowej na odrodek lnu trzy zagony stajowe. Len ten często opielala, zebrała, namoczyła, wysuszyła, omiedliła, wycesała, cienko sprzędła i wytknęła na krosnach sztukę płótna, którą potem na łączce skrapiając wodą, wybieliła na słońcu.

Teraz właśnie, gdy ubogi dziadek odszedł, wzięła się do przemierzenia tego płótna, aby się dowiedzieć, ile łokci ma sprzedać, a ile zostawić na koszule dla dzieci, a za sprzedane kupić soli i chleba. Mierzy tedy, ale mierzy i mierzy, a płótna nie w wałku nie ubywa. Aż się przestraszyła kobiecina, więc przestraszona mierzy dalej, dalej, bez końca — i tak mierzyła aż do zachodu słońca. Z czterdziestu łokci, które w sztuce były, cztery setki się wymierzyły! Janowa niezmiernie się uradowała, Panu Bogu podziękowała i teraz dopiero słowa owego dziadka zrozumiała, który, błogosławiąc ją za gościnny posiłek, życzył, aby ją Bóg *w dziesięcioro obdarzył.*

Tegoż jeszcze dnia sprzedawała wdowa kawał płótna Błażejowej, kawał do dworu i nazajutrz w miasteczku tyle jeszcze wzięła za płótno pieniędzy, że dokupiła sobie drugą krowę i kawałek ogrodu w pobliżu chaty.

Ta niespodziana pomyślność poczciwej wdowy wzbudziła w chciwej Błażejowej wielką ciekawość, zazdrość i podejrziwość względem najbliższej sąsiadki i kumy. Zaczęła więc zniemacka, mimochodem, ogródkami wybadywać Janową, ale ta jej zrazu powiedzieć nie chciała. Dopiero pewnego dnia, przy szklance piwa,

Janowa, która z przyrodzenia była szczerą i dobroduszną, rozgadała się o wszystkim i od początku opowiadała, jak to było. Błażejowa wnet ułożyła sobie cały zamiar, przyznała się do tego Janowej i prosiła ją serdecznie, aby, jeżeli ubogi dziadek nawiedzi ją powtórnie, przysłała go do sąsiadki.

— Moja kumo — rzecze dobra Janowa, — jeżeli go tylko Pan Bóg do mnie ześle powtórnie, bądźta pewni, że go będę usilnie prosiła, aby waszej chaty nie minął.

Aż tu nie upłynął jeszcze tydzień, a ten sam dziadek idzie przez wieś, podpierając się kijem, i zachodzi wprost do Janowej. Ucieszyła się baba wielce, nie wiedziała z radości, gdzie go posadzić, czem takiego gościa częstować. Dziękowała mu, w ręce staruszka całując, pokazywała dokupioną krowę, kawałek ogrodu i porządnie ogarnięte działki, a gdy dziadek, pobłogosławiwszy gospodarce i domowi, odchodził, prosiła, aby sąsiedniej chaty nie ominął.

Idzie sobie dziadek drogą, a Błażejowa, zobaczywszy go zdaleka, naśmarowała już grubo na palec masłem dwie kromki chleba, dała je swoim dzieciom i dziadka w progu czekała, a kiedy ten wszedł do izby, czempredziej poodbierała działwie chleb od gęby i ubogiemu oddała.

— Bóg ci zapłać — rzeknie staruszek, — obyś, co zaczęiesz dziś robić, do zachodu słońca ledwie skończyła! — To powiedziawszy, wyszedł z jej domu.

Błażejowa miała już przygotowane zawczasu płótno i łokieć do mierzenia i, odprowadziwszy dziadka do drzwi, już — już miała pochwycić łokieć, gdy dzieci pić zawołały; a że i sama uczuła pragnienie, a wody w izbie zabrakło, więc pobiegła z konewką po wodę do studni, żeby jej już nie potem w mierzeniu płótna nie przeszkadzało. Ale o dziwy! jak przyniosła konewkę jedną, czy to dzieci lub ona tyle wypily, czy woda tak wysychała w mgnieniu oka, dość, że musiała pobiedz po drugą, bo pragnienie paliło coraz więcej; a jak przyniosła drugą, pobiegła po trzecią i czwartą, bo dzieci coraz głośniejsze pić

wołały i jej coraz większe pragnienie dokuczało. A tu, jak na złość, niby pełną konewkę zacerpnie, a do domu już tylko trochę przynienie. I tak pili wszyscy bez końca, a Błażejowa nosiła wodę do samego zachodu słońca.

ZBRODNIA.

Było u rodziców trzy córki, dziewczki bujne i hoże, jedna nad drugą gładszej urody. Pewnego razu w pięknym poranek letni wszystkie trzy poszły do boru na maliny, każda z koszykiem w dłoni. Wtem jedzie leśnym gościńcem z wiernym sługą u boku pan młody i urodziwy. Zoczywszy trzy dziewczyny, jako krew z mlekiem, zeskoczył rącho z wronego wierzchowca, oddał cugle swemu pachołkowi i, podszedłszy ku pannom, rzecze skromnie:

— Widzę ja trzy siostry cudnego lica i radbym jedną pojąć za żonę; ale że wybór mam trudny, boście jednakowo ładne, więc jeżeli mną nie wzgardzicie, to niech sam Bóg losem wskaże i małżonkę mi wybierze, bo ukochałem was szczerze. Oto idźcie wszystkie po maliny, a ta, która najpierw pełny kosz przyniesie, najmilszą moją towarzyszką na całe życie będzie.

Wszystkim trzem siostrąm urodziwy pan przypadł ognisć do serca, więc duchem skoczyły do boru po maliny. Gdy tak zbierają a zbierają, idzie sobie drożyną leśną zgarbiony, siwy staruszek i rzecze do siostry najstarszej:

— Dobra dziewczeczko, jestem pielgrzym strudzony, umieram z pragnienia, upał dokucza mi srodze, a dla ochłody nie mogłem w tym lesie znaleźć kropli wody; daj mi więc garstkę malin soczystych, a Bóg ci to zapłaci.

Ale najstarsza siostra, że skąpa była i twarde serce miała, więc nie tylko staruszkowi malin nie dała, ale go jeszcze ofuknęła i do średniej siostry odesłała.

Dziadek z taką samą prośbą udał się do drugiej dziewczyny, ale i ta, choć łagodniej się obeszła, lecz także malin pożalowała i do najmłodszej siostry odesłała.

Pielgrzym idzie tedy do najmłodszej, która, litośnie na uznajonego dziadka spojrzawszy, nie czekając, aż poprosi, pierwsza koszyk grzecznie podała, żeby wziął malin, ile zechce. Staruszek wziął garstkę do ust, a jedną malinę, która mu na dłoni została, napowrót do koszyka wrzucił. I... o niesłychane dziwy! gdy tylko to zrobił pielgrzym sędziwy, wnet maliny w koszu rosły, rosły, aż wypełnił się z czubem w oka mgnieniu, a dziadek znikł w gęstwiny cieniu.

Najstarsza siostra, gdy kosz pełen u najmłodszej zobaczyła, taką zazdrością się zapaliła, że zabić ją umyśliła i średnią siostrę namawiała, żeby jej w tem pomagała. Ale średnia nie chciała być współniczką strasznej zbrodni, najstarszą od niej odmawiała i najmłodszej siostry broniła. Że jednak morderczyni miała przy sobie nóż ostry, więc spełniła okropną zbrodnię nad zbrodniami, jakiej jeszcze ani oko ludzkie nie widziało, ani ucho nie słyszało,—i wykopawszy dół niegłęboki, przykryła murawą nieszczęśliwej zwłoki, a rodzicom powiedziała, że ją wilcy rozszarpali. Potem okrutna zabójczyni za młodego pana się wydała.

Mija rok, mija drugi i trzeci;—rodzice córkę opłakali i ludzie nawet gadać przestali o nieszczęściu biednej dziewczyny, którą pożarli wilcy, gdy poszła na maliny. Tymczasem na grobie nieszczęśliwej wyrosła bujnie drobnolistna wierzba płacząca; a nie była to wierzba, ale niewinna duszyczka zabitej dziewczki.

A gdy przyszła wiosna, pastuszek młody, pędząc tamtędy trzody, uciął z wierzby gałązkę zieloną i dudkę z niej wykręconą do ust przyłożył swoich. Ale jakim był dziw jego, kiedy fujarka wierzbową zagrała takie słowa głosem, rzewniejszym od płaczu:

Graj, pasterzu, graj,
żału dodawaj!

Starsza siostra mnie zabiła,
młodsza siostra mnie broniła.
Graj, pasterzu, graj,
Bóg ci pomagaj!

Pastuszek się zdumiał i po raz wtóry przyłożył do ust piszczałkę, a ona rzewniej jeszcze wygrała to samo. Więc wszystkiego się domyślił, co żywo pobiegł do rodziców zabitej dziewczyny i zagrał im na wierzbowej fujarce. Rodzice oniemieli, uszom dać wiary nie chcieli, aż ojciec stary wziął do drżącej ręki fujarkę i zadął, a rzewny głos wszystkim serca przeniknął:

Graj, tatuniu, graj,
żału dodawaj!
Starsza siostra mnie zabiła,
młodsza siostra mnie broniła.
Graj, tatuniu, graj,
żału dodawaj!

Więc brali kolejno wierzbową dudkę: matka i brat, siostra średnia i sąsiad; a ona każdemu to samo zagrała. Posłano tedy po zameżną siostrę najstarszą. Zabójczyni przybyła, ale złem przecuciem wiedziona, błada, jak chusta, to znów zaczerwieniona, do rąk fujarki wziąć nie chciała, w ogień ją wrzucić próbowała, aż wreszcie, udając niewinną, do ust ją przyłożyła, aż ta raz ostatni zanuciła:

Graj, siostrzyczko, graj,
żału dodawaj!
Tyś to, siostro, mnie zabiła,
młodsza siostra mnie broniła,
tyś mi szczęścia zazdrościła,
marnie duszyczkę zgubiła,
i w dołkuś mnie pochowała,
czarną ziemią przysypała.
Wyrosły-ci tam wierzbeczki,
co będą śpiewać piosneczki.
Graj, zbójczyni, graj,
Boże cię skaraj!

Zbójczyni osłupiała, zaniemiała, fujarkę z rąk wypuściła i wielkim płaczem ryknęła. Siostra średnia opowiedziała teraz wszystko, jak było. Rodzice starzy, płacząc i mdlejąc od żalu, poszli do boru na grób najmłodszej córki. Długo się na tym grobie modlili, a sąsiedzi pogrzebowe pieśni zawodzili; potem nabożeństwo za niewinną duszę zakupiono i w dzień zaduszny stypę żalobną w domu wyprawiono.

Morderczynię za ręce i nogi do czterech dzikich koni przywiązano i żywcem rozerwano. A ów pan, poznawszy, że jego żona nie była mu przez Boga sądzona, lecz jeno podstępem się wydała, poślubił siostrę średnią.

O DWÓCH BRACIACH — UBOGIM I BOGATYM.

Było sobie dwóch braci: jeden bogaty, dusi-grosz, skąpy i chciwy, drugi — biedny, dobra wola, pocziwy. Bogacz był bezdzietny, a ubogi miał liczną gromadkę drobnych dzieciak.

Pewnego razu przyszedł brat ubogi do bogatego i rzecze:

— Miły panie bracie, wszak wiesz, jaki miałem nieurodzaj, jaki cierpię niedostatek; zabrakło mi chleba dla kochanych dzieciak, krowę pożarli wilej przy samej chacie. Pożycz mi trochę pieniędzy, bym zapobiegł strasznej nędzy; zbaw od głodu, drogi bracie, będę Boga prosił za cię!

Brat bogaty zmarszczył czoło i ofuknął niewesoło:

— Ty natręcie, ty żebraku, no proszę! chcesz, bym ci oddawał me grosze! Eresztą dam ci, czego żądasz, jeżeli mi oddasz za to jedno własne oko.

Sądził bogaty, że tym sposobem pozbędzie się uboiego; ale ten, wyszedłszy z chaty, myślał, dumał, i gdy

mu stanął w wyobraźni bolesny obraz zgłodniałych dzieciak, zapłakał rzewnie, wyjął sobie jedno oko, zaniósł do brata nieczulego, a ten, nie mogąc się wyprzeć słowa danego, pieniędzy musiał pożyczyć. Ubogi poszedł kupić chleba i soli, a przybywszy do domu, mówi do żony i dzieciak: „Dał brat pieniędzy, lecz za to wziął mi oko.“ A żona na to: „Oka mi twego wielki żal, ale większy byłby żal dzieciak, gdyby pomarły z głodu.“ „Prawdę mówisz — rzekł ojciec, westchnąwszy głęboko, — dla mych dzieciak oddałbym i drugie oko.“

I minął tydzień, minął drugi i trzeci: aż razu pewnego, gdy dzieci zawołały: „Mamo, daj chleba!“ — matka znalazła tylko kromkę ostatnią, a ojcu ścisnęło się serce, gdy spojrzał na pusty trzosik; włożył więc czapkę na głowę i poszedł do brata.

— Miły panie bracie — rzekł, przybywszy nieśmieile, — za pieniądze, które mi dałeś, żyliśmy przez trzy niedziele, za drugie trzy niedziele skończy się przednówek i będziemy mieli chleb własny; ale tymczasem dzieciaki pomrą mi z głodu, a i mnie z jednym okiem zarobek już niełatwy. Pożycz mi jeszcze pieniędzy, abyśmy nie pomarli z nędzy.

Brat bogaty wstrząsnął głową i odezwał się surowo:

Nie dam ci już ni szeląga, chyba, że oddasz drugie oko.

Był bowiem pewien, że biedak nie zechce pozbawić się jedynego oka i pójdzie sobie z kwitkiem. Jakoż nieszczęśliwy ojciec wyszedł za drzwi, jał się namyślać, a gdy mu stanął w wyobraźni straszny obraz umierających z głodu dzieciak, zapłakał nad tem serdecznie, że gdy wyjmie drugie oko, nigdy już ich wzrokiem swym nie zobaczy. Ale odważnie wyjął oko drugie i zaniósł je bratu nieczulemu, który, widząc to, pieniędzy dać musiał, według słowa, ślepemu. Ślepiec, macając kijem drogę, poszedł kupić chleba i soli, a powróciwszy do domu, rzecze do swoich: „Dał mi brat pieniędzy, lecz za to wziął oko drugie.“

A żona odpowiedziała boleśnie: „Oczu mi two-

ich żał, ale większy żał byłby dziątek, gdyby z głodu pomarły.“

— Masz słuszość — rzekł ojciec, — dla mych dziećtek oddałbym w potrzebie i życia ostatek. — I rzewnie zapłakał; a że pozbawiony wzroku pracować i zarabiać już nie mógł, więc poszedł do nieludzkiego brata i prosił, żeby go zawiózł i posadził przy kościele, gdzie bywa ludzi litościwych wiele, więc ten i ów rzuci grosz kalece. Bogacz choć koni żałował, ale odwiózł brata pod kościół parafialny.

Siedzi ślepiec na cmentarzu, siedzi dzień cały i kolata do serc pobożnych; ale jakoś, może dlatego, że dziadów było wielu, a ludu mało, nie mu się prawie nie dostało. Wstał tedy wieczorem i, kijem macając płotów, poszedł szukać sobie noclegu. I oto namacawszy drzewo przy drodze, postanowił pod niem przenocować. Gdy tak usiadł i duma, duma i rozmyśla o dziatkach, żonie i swej niemocy, nadeszła chwila północy. I oto dał się słyszeć w powietrzu jakiś szum, szelest gałęzi i na drzewie usiadły trzy ptaki, które taką zaczęły rozmowę:

— Czy wiecie, bracia, że nasze miasto trapiione jest zupełnym brakiem wody, a mieszkańcy nie wiedzą, że gdyby tylko ten kamień wielki za plebanią odwalili, to trysnęłyby źródły strumieniem.

— A czy wiecie — rzekł ptak drugi, — że gdy kasztelana piękna jedynaczka jadła chleb i okruszyna onego wpadła pod podłogę, a tę okruszynę połknęła ukryta tam żaba, odtąd panna choruje i usycha z dniem każdym, a ropucha tyje. Kasztelan z czterech stron świata zwozi lekarzy i znachorów, złotem sypie, folwarki obiecuje, lecz wszystko nadaremnie; jako kwiat ścięty, wędnieje hoża dziewczyna, bo nikt nie wie, gdzie choroby jest przyczyna, nikt tego nie wie, że aby kasztelanek od śmierci zbawić, trzeba ropuchę zabić.

— A wiecie, mili bracia — rzeknie ptak trzeci, — że dziś rano spadnie taka rosa z nieba, iż ślepym ludziom, gdyby o tem wiedzieli i oczy potarli, wzrok przywrócony być może.

Niewidomy wysłuchał tego wszystkiego bacznie,

gdyż od czasu, jak stracił wzrok cielesny, rozumiał mowę ptaków. Jak więc tylko ranne zaświtało zorze i cudowna rosa z nieba pokryła ziola i trawy, upadł twarzą na ziemię i jał się tarzać, jak zwierz jaki... Aż oto, wielki Boże! w jednej chwili wzrok czysty odzyskał. Więc uklęknął pod onem drzewem, Bogu za ten cud wielki podziękował, ziemię świętą ucałował i najpierw do tego miasta powędrował, które cierpiało srogi brak wody. Odpocząwszy nieco z drogi, do mieszczan sławetnych rzecze:

— „Sławetni obywatele! jak mi dacie za to wiele, to znajdę i otworzę w waszym grodzie źródło obfite czystej wody.“

Radość wielka powstała w całym mieście, a starsi mieszczanie rzekli do podróżnego:

— „Damy ci wszystko, czego żądasz, tylko wskaż nam źródło niewiadomy.“

Wtedy podróżny poprowadził panów radnych i ławników do wielkiego głazu i kazał go odwalić, a w chwili, gdy to mieszczanie skwapliwie uczynili, wytrysnął z pod kamienia nad podziw obfite źródło smacznej, zimnej wody, a mieszczanie radzi dali swemu dobroczyńcy tyle srebra i złota, ile tylko mógł pomieścić w swoich torbach podróżnych.

Z miasta tego powędrował szczęśliwiec na zamek kasztelański, a przybywszy, rzecze do pana kasztelana, że mu jest dana moc uratować zdrowie jego córy. Kasztelan spojrzał z niedowierzaniem na niego, z góry bystrym wzrokiem zmierzył od stóp do głów przybyłego i zapytał o radę dla dziecka swego, obiecując dać za wyleczenie tyle srebra i złota, ile tylko sam zażąda.

Wtedy podróżny oderwał deskę z podłogi w komnacie kasztelanki, wydobył wielką, jak czapka, spasłą żabę i zabił ją. Aliści zaledwie to uczynił, a już rumieniec zdrowia zaigrał na białych i wychudłych panny kasztelanki jagodach; w trzy dni nikt już jej poznać nie mógł, tak szybko do dawnej czerstwości i urody powracała. Kasztelan nie posiadał się z radości, zaprosił wiele gości, wyprawił rycerskie gonitwy dla okolicznych

panów i ucztę dla swojej włości; uzdrowiciela swojej córki, choć w prostej kapocie, sadzał przy stole obok siebie, ścisnął go i przepijał w jego ręce, a potem, kazawszy naładować wozy srebrem i złotem, zbożem i różnymi darami, odesłał go do domu furgonami.

Powrócił do swojej chaty już nie biedak, ale jak pan bogaty; złota i srebra miał wbród, żywności na lat parę, ale największy był cud, oczy miał czyste i zdrowe. Wita się z żoną, ścisnął dziatki i płacze z rozczulenia razem z niemi, a nacieszywszy się dowoli, biegnie do brata oddać mu pieniądze pożyczone i podziękować, że przez powymowianie oczu był jego szczęścia przyczyną.

Brat, chciwy skarbów, wypytywać się zaczyna o wszystko, jak to było, bacznie, a zapalony żądzą wzbogacenia się w taki sam sposób, prosi dawniejszego ślepcę, żeby mu wyjął z głowy oba oczy i odwił go potem pod kościół. Jakoż stało się podług jego woli. Oślepiiony chciwiec przesiedział dzień na cmentarzu, a niecierpliwie doczekawszy się wieczora, dalejże pod to samo drzewo idzie na czaty. Przyczaił się, niby śpiący, i wyczekuje przybycia owych dziwnych ptaków. Aż oto o samej północy w powietrzu zaszumiało, zahuczało, gałęzie zaszeleściały, trzy ptaki przyleciały i, usiadłszy na drzewie, taką rozmowę zaczęły:

— Nie rozumiem, co się stało—rzecze pierwszy,— że gdy mówiłem onegdaj o mieście bez wody i o źródle, co był ukryty pod wielkim kamieniem, a oto zaraz mieszczanie kamień odwalili i źródło dobyli.

— A ja mówiłem wam—rzecze ptak drugi—o chorej córce kasztelana i o żabie, która jest jej niemocy przyczyną, a oto dziś żaba zabita, a panna uzdrowiona.

— Ja zaś—rzecze trzeci—powiedziałem o cudownej rosie, co wzrok przywraca, a oto ten ślepiec z pod kościoła, co mu oczy brat zabrał, odzyskał wzrok swój dawny...

— Więc musi być jakowaś zdrada!—rzekną jedynym głosem trzy ptaki.—Zobaczmy, czyli kto taki pod drzewo się nie podkrada i nie podsłuchuje nas skrycie.—

I w tejże chwili trzy drapieżne ptaki zleciały z drzewa, a ujrawszy pod niemi przyczajonego człowieka, szarpiąc w drobne sztuki, odebrały mu życie i z jego ciała krwawą wyprawily sobie ucztę.

PIELGRZYM I SKARB PRZECZ NIEGO ZNALEZIONY.

Szedł pielgrzym drogą i znalazł trzos ze złotem, a zamiast go podnieść, jął okładać kijem. Aż oto nadeszło trzech podróżnych, którzy, zobaczywszy, co robi, naśmieli się z pielgrzymem, a pytając z podziwem, dlaczego chłostał te pieniądze, trzos ze złotem zabrali.

— W tym skórzanym trzosie śmierć zawarta—odpowie pielgrzym,— więc ja śmierć kijem okładam, aby do mnie nie przyczepiła się.

— Jakże on głupi!—rzekli podróżni i poszli ze znalezionym skarbem w dalszą drogę, a pielgrzym udał się na puszcę.

Uradowani niespodziewanem szczęściem, gdy słońce już zaszło, wstąpili do samotnej wśród boru karczmy, aby podzielić się złotem, posilić wieczorzą i zanocować. Przy wieczery, radzi wielce z tego, co ich spotkało, podchmielili sobie niezgorzej; a że, jak to u pijących bywa, ten mocniejszy w ręce, ów w nodze, a inny w głowie,—więc i tu, gdy jeden z nich, zamroczony trunkiem, zasnął, jak drewno, dwaj pozostali zmówili się, żeby śpiącego zabić i pieniędzmi, które wziął w podziale, podzielić się. Jakoż straszną na nim zbrodnię spełnili, trupa w krzakach ukryli, pieniędzmi jego podzielili się i, zabrawszy flaszkę z resztą gorzałki, co rychło w bory uciekli.

Długo szli przez gęstwiny, a szli chyłkiem, gdyż zdawało się im, że ktoś goni, bo, jak wiadomo, na złodzieju zawsze czapka gore,—aż pomęczeni zatrzymali się na odpoczynek. Wtedy ten, który pierwszy do zbro-

dni był powodem, żeby dodać sobie odwagi i zagłuszyć głos sumienia, duszkiem wychylił pozostałą gorzałkę, poczem usnął snem twardym.

Towarzysz, słysząc chrapanie, myśli sobie: Ty mnie do zabicia tamtego podmówiłeś, więc sam na podobną śmierć zasłużyłeś; jeżeli ja ciebie zabiję, to cię spotka słuszną kara, a zbrodnia nasza już nigdy się nie wyda. Tak dumając, zabił zbrodniarza zbrodniarza, zabrał wszystko złoto, ukrył trupa w lisiej norze i powędrował do miasta, opasawszy się ciężkim trzosem, ale dźwigając jeszcze większy ciężar czarnego sumienia mordercy.

Sumienie to nie dawało mu pokoju we dnie i w nocy, aby więc je zagłuszyć, pił na zabój, grał w kości i karty z kosterami i szulerami, płacił blaznom za hece, hulał i tańczył, jak opętany, aż nareszcie cały skarb swój przetrwonił, a wyrzuty sumienia zostały wyrzutami. Nędra poczęła trapić ciało, a jadowity robak sumienia toczył mu duszę. Gdzie spojrzał, widział w każdej kropli błota krew ludzką, w każdym głosie słyszał jęk konających; w dzień każdy człowiek zdawał mu się podobny do zamordowanych, każdy, kto spojrzał na niego, zdawał się wiedzieć o jego zbrodniach; w nocy krwawe ofiary stały mu nad głową, spędzając wiecznie sen z oczu. Więc nie mogąc znieść gwaru miasta i widoku ludzi, uciekł znowu na puszcę. Ale gdy w odludnem pustkowiu głód i sumienie jeszcze srożej dręczyć go poczęły, postanowił zakończyć swą męczarnię przez odebranie sobie życia.

Jakoż upatrzył dąb rosochaty i już założył sobie pętlę na szyję, gdy nagle ukazał się z gęstwiny ten sam pustelnik, co to skarb kijem okładał, i kościstą ręką wstrzymał spełnienie trzeciej zbrodni. Samobójca, skruszony widokiem świątobliwego starca, upadł przed nim na kolana, całował kraj grubej jego szaty, i płacząc, szukał ulgi w spowiedzi, którą przed nim uczynił szczerą i głęboką.

— Grzeszniku — rzeknie wzruszonym głosem starzec siwobrody, — wielkie są winy twoje, ale jeszcze

większe miłosierdzie Boże! Oto cudowne zrządzenie przeszkodziło twojemu samobójstwu, a wybawić ono może i grzeszną duszę twoją i ocalić życie niewinnego karczmarza z owej leśnej gospody, który, posądzony o dwa zabójstwa i na śmierć skazany, jutro ma być mieczem kata ścięty na rynku miejskim. Ja jeden byłem przeświadczony o niewinności tego człowieka, ale dowodów na poparcie słów swoich nie miałem. Modliłem się więc gorąco do Boga i Bóg wysłuchał modłów moich. Jeszcze nie jest zapóźno. Idź, grzeszniku, corychlej do miasta, wyznaj przed starostą zbrodnie swoje, proś o surową dla siebie sprawiedliwość, zgiń śmiercią zasłużoną, a ocalisz życie niewinnemu karczmarzowi i własną duszę wybawisz przed potępieniem wiecznem.

Nazajutrz rano, gdy karczmarza na rynku ścierać miano, przedarł się przez tłum zebrany człowiek, nikomu nieznanym, krzycząc głosem rozpaczliwym: „Jam jest mordercą prawdziwym; za największą łaskę świata dajcie mi pójść pod miecz kata; karczmarz niewinnie sądzony niech wróci do dzieci i żony.“

X X ZWIERCIADŁO.

Była sobie wdowa i miała jedną córkę. Córka ta była cud dziewczica, a matka wyrodna zazdrośnica, bo własnej córce piękności zazdrościła. Sama rada po biesiadach gościła i do karczmy biegała, jadła, piła i tańcowała, bo jeszcze zamąż wydać się chciała. Pocziwą dziewczynę głodem morzyła; nieraz biła, w domu zamykała, żeby jej ludzie nie widzieli, a żeby prędzej zbrzydła, ciężkie roboty zadawała. Ale pomimo to wszystko, dziewczyna z dniem każdym była piękniejszą, a baba szpetniejszą.

Wdowa miała cudowne zwierciadło, w którym się często przeglądała i, przeglądając, zapytywała: „Zwierciadło moje, powiedz mi, piękna ja?“ A zwierciadło od-

powiadało: „Tyś piękna, ale córka twoja piękniejsza.“ Wyrodna matka wściekała się z gniewu i zazdrości, więc postanowiła zgładzić córkę z tego świata i kazała swemu parobkowi, który był jej powiernikiem, zaprowadzić dziewczę w dalekie manowce, zabić ją i na znak przynieść serce dziewczyny. Parobek poszedł, ale że był dobry człowiek i chrześcijanin, więc ostrzegł dziewczynę, żeby do domu nie wracała, polecił ją Panu Bogu, a sam zabił swego psa, wyjął serce i oddał okrutnej matce, jako serce córki.

Dziewczyna biedna i opuszczona idzie a idzie przez głuchą puszcę i płacze a płacze, aż w końcu upadła na ziemię strudzona i zasnęła snem twardym. Wtem przez bór zbójcy jechali i, znalazłszy śpiącą, myśleli, że to anioł, nie dziewczyna, więc dokoła pokłękali, zachwyceni jej dziwną urodą. Biedna obudziła się i przelękła, ale oni zapewnili, że nic złego jej się nie stanie, że ją będą czcili, jak anioła, że będzie im tylko na puszczy jeść gotowała i skrwawione szaty opierała. I zaprowadzili niebogę do swojej jaskini, którą jej na wyłączne mieszkanie oddali.

Dziewczyna jeść gotuje i, mówiąc za zabitych cięhe pacierze, zbroczone krwią szaty pierze, a zbójcy służą na jej skinienie, niezwykłą czcią otaczając. Więc gdy władzę swą poznała, zabijać im zakazała i mordy w puszczy ustały, jakby nigdy nie bywały.

Tak upłynął już rok cały, a wyrodna matka pewna była, że córka jej dawno nie żyła. Lecz raz jednego, kiedy, baba wyką pawszy się w mleku, natarłszy policzki ówikłą i włożywszy na łeb kornet złoty (bo miała iść w zaloty), przeglądając się w cudownem zwierciadle zapytała: „piękna ja?“—zwierciadło odpowiedziało: „pięknaś ty, ale córka twoja piękniejsza“. Baba podskoczyła ze złości, słysząc, że córka jej żyje; pobiegła do czarownicy, by jej pomogła córkę wykryć i zgubić.

Czarownica za to garść złota zażądała, a gdy złoto dostała, poszła w głębokie bory i knieje, gdzie zbójcy mieszkali, a spotkawszy dziewczynę, wodę niosącą i z tęsknoty płaczącą, rzekła do niej:

— Nie płacz, nie płacz, niebogo. Matka twoja błąd swój poznała, szczerze cię teraz miłuje i pragnie, abys do niej powróciła; w tym celu mnie tu wysłała, a na znak ten pierścień oddać ci kazała.

Dziewczyna, poznawszy złocisty sygnet swej matki, rzewnymi łzami zapłakała, przycisnęła go do serca, pocałowała i na palec serdeczny włożyła. Lecz o dziwo! w tejże chwili jakaś senność nieprzeparta ogarnęła niebogę; zbladła, jak chusta, upadła na trawę i podobnym do śmierci snem usnęła. Czarownica tymczasem co tehu umknęła i, powróciwszy do matki, tak mówi:

— Uspiałam ją snem nieprzespanym, pierścieniem zaczarowanym.

Zbójcy, powróciwszy z wyprawy, patrzą — niema ani dziewczyny, ani przyrządzonej strawy; wołają, szukają na wszystkie strony — i dopiero nad brzegiem strumienia, gdzie zwykle po wodę chodziła, znaleźli, jak leżała biała, bez znaku życia. Ocucić ją próbowali, dookoła pokłękali, ale gdy rady nie dali, sądząc, że snem śmiertelnym zasnęła, o pogrzebie radzić zaczęli. Tymczasem, spostrzegłszy na jej palcu złoty pierścień, chcieli go zdjąć, a dziewczyna oczy otwiera i... jakby sto lat przespała, tak boleśnie westchnęła, że nawet zbójcy zadrżeli, a widząc w pierścieniu jakieś siły tajemnicze, do rzeki go cisnęli. Ona zaraz podniosła się z ziemi, krasny rumieniec oblał jej anielskie oblicze, i znowu żyła między nimi, zbójcom jeść gotowała i szaty ich opierała.

Tak upłynął rok cały, a wyrodna matka była przeświadczona, że córka snem wiecznym już uspiona. Lecz raz pewnego, kiedy zalotna baba, wyką pawczy się w mleku, natarłszy policzki burakiem i włożywszy na czub kornet złocisty, przeglądając się w cudownem zwierciadle, zapytała: „piękna ja?“—zwierciadło odpowiedziało: „pięknaś ty, ale córka twoja piękniejsza“. Wdowa podskoczyła z wściekłości, słysząc, że córka jej jeszcze żyje, i z wymówkami do czarownicy pobiegła.

Czarownica wierzyć temu nie chciała, ale wreszcie tak już uczynić obiecała, że dziewczyna raz na zawsze

przepadnie. Jakoż poszła natychmiast w głębokie bory i knieje, tam, gdzie zbójcy przebywali, i znalazłszy niebogę śpiącą na miękkim mchu leśnym, podkraǳła się pocichu blisko i, wbiwszy za paznogię serdecznego palca zaczarowaną szpilkę, sama uciekła, a przybywszy do matki, rzecze:

— Uśpiłam ją snem wiecznym, wbiwszy za paznogię serdecznego palca szpilkę zaczarowaną.

Gdy zbójcy powrócili z wycieczki, patrzą — leży na trawie biała, jak trup, dziewczyna, bez znaku życia. Ukłękli dokoła i usiłowali ją przebudzić, ale nadaremnie. Pierścienia na żadnym palcu nie znaleźli, a szpilki za paznogię nie dostrzegli. Że zaś była tak piękna, jakby żywa, z anielskim na twarzy uśmiechem, więc nie wątpiąc, że żyje, a tylko przebudzenia im sposób niewiadomy, poszli do miasta. Kupili szklaną trumnę i dziewczynę, ubraną w bieli, z zielonym wieńcem na głowie, na jedwabnych sznurach, między dwoma staremi jodłami zawiesili. Odtąd w samotnem ustroniu wiatr kołysał piękną dziewczynę w szklanej trumnie, a ptaszkiwie leśni przyspiewywali jej z szumem jodeł i szmerem pobliskiego strumyka.

Zdarzyło się jednak pewnego czasu, że królewicz, będąc na łowach, zapuścił się w głębokie bory i knieje i wielce zdziwiony został, gdy nagle napotkał zawieszoną między jodłami szklaną trumnę, a w tej trumnie ubraną w bieli cud dziewczę z zielonym wieńcem na głowie i anielskim uśmiechem na twarzy. Kazał zdjąć trumnę i otworzyć; dziewczyna miała pierś, jak śnieg, białą i ręce wolne. Zaciekawiony niesłychanie królewicz wziął ją za rękę i paluszki swobodnie wyginał, ale zauważył przytem, że tylko jeden palec serdeczny jest wyprężony i, przypatrując mu się, spostrzegł za paznogię szpilkę, którą natychmiast wyciągnął. I oto dziwnie nad dziwnymi — dziewczyna porusza powiekami i, jakby sto lat przespała, tak boleśnie westchnęła, że aż dworzanie struchleli. Tylko królewicz klęczał nad nią zachwycony i patrzył, jako w obraz najcudniejszą. Ona,

spostrzegłszy tak pięknego i młodego pana, zapłonila się cała, z trumny szybko powstała i oczy w ziemię spuściła. Królewicz wtedy wypytując się począł ciekawie, a ona mu wszystko, jak było od początku, o swej ciężkiej doli opowiedziała.

W kilka niedziel potem odprawiono na zamku królewskim huczne gody. Królewicz, który już został królem, zaprosił wszystkich panów, starostów, kasztelanów i hetmanów, i wszystek lud pracowity na weselny bankiet znamienity. Między zaproszonymi była i matka panny młodej, która o niczem nie wiedziała i niczego się nie domyślała, gdyż od czasu, jak czarownica stłukła jej naumyślnie cudowne zwierciadło, była pewna, że córka nie żyje.

Wtem młody król zapytał tłumu biesiadników:

— Coby zrobić takiej matce, która własne dziecko zatracić chciała?

— Taką kobietę — odpowie ustrojona w złocisty koronet wdowa — kazałabym we cztery konie rozszarpać.

— Niech spełni się wyrok, któryś sama, nędzna kobieto, na siebie wydała, — rzekł król i skinął na pacholców i siepaczy.

Przyprowadzono zaraz cztery dzikie rumaki i w oczach całego ludu przywiązano babę do nich za ręce i nogi. Ale w tejże chwili dowiedziała się o tem młoda królowa, a że dobra była, więc u swego męża życie dla okrutnej matki uprosiła.

Następnie na rynek stolicy przyprowadzono dwunastu opryszków, skazanych także na rozszarpanie końmi; a byli to ci sami z owej puszczy rozbójnicy. Królowa ich, zoczywszy, poznała, padła do nóg królowi i z płaczem błagała, by darował winowajcom tym życie, oni bowiem krasę dziewczyną szanowali i na jej prośby krwawych rozbojów oddawna zaniechali.

Młody król, wzruszony łzami, zadość woli królowej uczynił i wszystko skończyło się godami, jakich jeszcze ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało.

I ja tam byłem,
miód, wino piłem;
po brodzie kapąło,
w uściech nie postało.

O DYABLE WÓDKOROBIE I O KMIOTKU CHARŁAKU.

Był sobie kmiotek, biedak nad biedaki, bo nietylko grosza nigdy w oczy nie widział, ale często-gęsto i kawałka chleba nie miał, a o omaścić i mowy nie było. A tu z łaski czy za karę, dał mu Pan Bóg dziątek dwa-naścioro. Z żoną więc i dziatkami wiodąc żywot charłacki, Charłakiem był przezwany.

Raz kmiotek Charłak poszedł orać w pole i wziął z domu ostatni okrajec chleba.

Orze, orze — i już było samo południe, kiedy, pusiwszy spracowane woliki na trawę, sam siadł na miedzy, wziął węzelek, rozwinął, spojrzał na okrajec chleba i zadumał się srodze.

Był on pracowity, dobrego serca, żonę i dziatki serdecznie kochał, dla nich w pocie czoła pracował, dla nich tylko pod brzemieniem biedy nie upadał. Popatrzył więc, westchnął i znowu węzelek z chlebem na miejscu położył.

— Posiłę się później, to mi nie tak prędko znowu jeść się zachce i cokolwiek oszczędzi się dla dziatki — pomyślał biedak. Wstał i do roboty poszedł.

Kiedy Charłak nad okrajcem chleba rozmyślał, tuż przy nim stał dyabeł niewidzialny i myślał, jakiegoby fi-gla wypłatać biedakowi...

Więc ukradł bies chleb z węzelka i, ciekawy, co kmieć pocnie, gdy nie znajdzie chleba, usiadł na miedzy, chleb zjadł i czekał.

Długi czas Charłak przemagał głód dokuczliwy, nakoniec, rzekłszy: „człowiek jestem,“ poszedł do węzelka, rozwinął go... a tu chleba niema!

— Dziwna rzecz — pomyślał Charłak, — nikogo tu nie było, a jednak ktoś chleb sprzątnął!... Ha, musiał być także głodny, niechże mu więc będzie na zdrowie!... za jeden dzień z głodu nie umrę, a poczekawszy, będzie Pan Bóg łaskawszy.

Przeżegnał się więc, zmówił pacierz, poorał jeszcze i do domu za plugiem poszedł.

— Żle! — mruknął pod nosem szatan, zgrzytając zębami; — ukradłem mu ostatni kęs chleba, a on, zamiast kłać i złorzeczeniami gubić swoją duszę, zdrowia mi życzy! — Śmignął więc przez ziemię do piekła, stanął przed Lucyperem i całą rzecz opowiedział.

— Żleś zrobił — odpowie mu Lucyper — jakkolwiek my broim, to wszakże nadejdzie czas i na nas... przyjdzie kreska na Mątyska; źle robić nasza to rzecz, ale cóż, kiedy i dyabeł ma swe sumienie. Gdy zrobisz źle człowiekowi złemu, zrobiłeś, jak na potępienia przystało; ale ukradzenie ostatniej kromki chleba pocziwemu Charłakowi przejmuję zgrozą nawet serce czartowskie. A w dodatku przez łakomstwo chleb zjadłeś, a chleb to dar niebieski, więc go dyabłu jeść nie wolno. Skazuję cię za to na siedem lat pokuty. Ruszaj więc prędej do Charłaka i wyrządzoną mu krzywdę odśłuż ciężką siedmioletnią pracą.

Dyabeł, usłyszawszy niemiły rozkaz króla piekieł, skurczył się, jak kura obmokła; ale przybrawszy postać wędrownego człowieka, przyszedł do Charłaka i prosi się na służbę do niego.

— Czyż mnie trzymać sługę, kiedy i sam mrę głodem! — rzecze mu Charłak.

— Ja biedny i ty biedny — odpowie dyabeł — będziemy razem biedę klepać, ale dwóm robota pójdzie sporzej; ja żony i dziatki nie mam, kożuch i siermięgę mam jeszcze dobrą, łapcie sobie z łyka lipowego upłotę, po kiermaszach chodzić nie będę, więc płacy żadnej nie potrzebuję, bo grosz okrągły zawsze się wytoczy, byleś mi dał kawałek chleba suchego.

Tym sposobem zamieszkał bies u Charłaka, został

jego parobkiem i tak mu pracuje, że nikt takiej roboty pojąć nie może!

W chlewie u Charłaka jedna tylko krówka, a jednak jego parobek całe mu pole gnojem nawiózł, w jeden dzień całą rolę zaorał, zasiał, zboże jak las rośnie, kłосуje się i wydało plon niesłychany. Wszyscy dziwią się, że u Charłaka chleba po uszy, żona mu nie dokucza, dziatki nie skwierczą. W jesieni całe pole zasiał, nie-mało zboża sprzedali, a reszty niema komu sprzedać, biedują więc, co z ziarnem zrobić?

— Zróbmy tak — odezwał się parobek — zaorzmą trzęsawiska i zasiejmy, lato, jak się zdaje, będzie gorące, a nuż urodzi?

Zaczął dyabeł błoto orać, a tu za pługiem schnie, jak w piecu; zabronował, zasiał i krzewić się zaczęło.

Sąsiedzi, widząc, jak ziarno do błota rzucał, śmieli się do rozpuku; ale kiedy dobrze urodziło, wszyscy naśladować go postanowili.

Charłak wzbogacił się, co się zowie, parobkowi płacę wyznaczył i żyją szczęśliwie.

W następnym roku sąsiedzi rzucili się orać, bronować i zasiewać bagna, a u Charłaka robi się wręcz przeciwnie.

— Wiesz co, mości gospodarzu — odezwał się parobek — mnie się zdaje, że rok ten będzie mokry; zasiejemy góry piaszczyste i wydmy, a sąsiedzi niech sobie gmerzą w błocie.

I poszedł dyabeł orać góry i piaski, na których dotąd nigdy nie nie rodziło. Zaorał i zasiał, a pora tak się zadeszczyła, że na nizinach wszystko wymokło, na równinach plon był mierny, a po górach taki urodzaj, że zboże z niebem gada. Charłak nie wie, co z ziarnem ma począć.

Życzliwy dotąd dyabeł pomyślał więc nareszcie: Zdaje się, że za skradziony okrajec chleba już skwitowałem, Charłak z lichwą nagrodzony, czas by go już porzucić; lecz mam — że mu figla teraz nie wypłatać?

— A co, mości gospodarzu — rzekł parobek — zboża mamy do zbytku, cóż z niem robić będziemy?

— A cóż mamy robić? — odpowie Charłak — będziemy jeść na zdrowie, damy ubogim i na szpitalu, udzielimy potrzebującym, a reszta niech będzie w zapasie na złą godzinę, czasem i nieurodzaj nawiedzi.

Dyabłu nie podobały się te słowa, więc rzecze:

— Ziarno na gromadach długo leżeć nie może i tylko kłopot z przerabianiem i pilnowaniem. Oto ja mam pomysł nowy, który uda się niezawodnie, przyniesie nam wielkie zyski, a w dodatku cześć i sławę.

— Cóż to za pomysł masz, bracie?

— Bardzo prosty! z jęczmienia ludzie warzą piwo, więc my zacznijmy żyto warzyć i przewarzać, a nuż zrobi się coś mądrego?

— Próbuje, jeśli się podoba, mojej głowy nie stać na to — odrzekł Charłak parobkowi.

Wziął się dyabeł do pomysłu, porobił kotły i kadzie, jał zacierać, mieszać, warzyć, dosypywał chmielu i wywarzył napitek czysty, jak woda, ale tegi i gorzkawy, który palił podniebienie. Dyabeł zaryczał z radości, napitek nazwał gorzalką, natoczył w gąsiory i flaszki, nalał w kieliszki, postawił na stole i zaprosił pocziwego gospodarza.

Charłak pociągnął, skrzywił się i zakrzuszył.

— Oj, coś gorzka i pali, a czy dyabli nadalili..

— To nic — mówi parobek — dla tej goryczki i palności ludzie ją będą tem chętniej łykali; trzeba spróbować, co dalej będzie: łyknij kieliszek drugi, nic nie zaszkodzi, wszak to toż samo zboże, tylko uwarzone.

Charłak wychylił, a drugi kieliszek już lepiej mu smakował, więc rzekł:

— Gorzka wprawdzie, ale w brzuchu przyjemnie grzeje.

— łyknij kieliszek trzeci, a zobaczysz, co będzie — i to mówiąc nalał mu z flaszki; obaj się szkłem stuknęli i duszkiem napój szatański łyknęli.

— Dalipan, już nie gorzka — odezwał się Charłak — jak widzisz mnie żywego, nie gorzka.

— Nietylko, że nie gorzka, ale wyśmienita — rzecze dyabeł — machnijmy jeszcze po czwartym.

Charłak już sam kieliszek podstawił, mówiąc:

— Do asana!.. Prawda, prawda, że wyśmienita — i wychyliwszy do dna, dodał:—A mnie coś jakby weselej się robi, zdaje się, że o dziesięć lat odmłodził, krew mi igra, jak zamłodu... Ani mnie pozna moja babka!.. no- gi rwą się do tańca.

— Więc pozwólmę sobie po piątym — dodał dyabeł—a będzie jeszcze weselej, jeszcze milej!

— Mnie się zdaje—przerwał Charłak, wychylając kieliszek piąty—że i po szóstym nicby nie zaszkodziło!

— Wiwat gorzałka — wrzasnął dyabeł, sam już dobrze podecięty, i począł w około izby z wielkiej radości tańczyć walca.

— Czekaj! czekaj!—wołał Charłak, z wielkiej radości nalewając sam sobie kieliszek szósty — i ja bym z tobą potańcował, ale zdaje mi się, że chata się kręci i na łeb wali.—To mówiąc, upuścił fiaszę na ziemię, sam ją ścisnąć, całować biesa i zataczać się po izbie.

— A mnie się zdaje—rzecze pijany dyabeł—że jestem we własnym piekle, że trzymam w kleszczach twoją duszę, a najjaśniejszy Lucyfer, król piekła, za miliony dusz ludzkich, które mu przyniesie wymyślona przezemnie gorzałka, mianuje mnie wielkim podziemnego państwa dostojnikiem.

Na brzęk stłuczonej fiaszy wbiegła do izby żona Charłaka, a za nią gromada dziatwy, która, widząc staro- go ojca, tańczącego z parobkiem, zaczęła się śmiać do rozpuku; i tym sposobem Charłak został raz pierwszy pośmiewiskiem swych dzieci. Biedna kobiecina z przerażeniem spostrzegła opętanie męża. A że po tej weso- łości nastąpiła z kolei wielka obrzydliwość, przyczem parobek wyrzucił z siebie czarną smołę, więc kobieta pobięła po cyrulika.

Obaj pijani, walając się we własnym kale, zasnęli tymczasem—jeden pod ławą, a drugi wpadłszy do kory- ta świńskiego. A gdy się obudzili, głowy ciężły im, jak kamień.

— Nie to—odezwał się dyabeł—klin klinem wypę-

dzać trzeba, łknijmy więc po kieliszku! — i to mówiąc, przyniósł i nalał z gąsiorka.

— Nie, nie mogę — odrzekł Charłak i wzdrygnął się cały.

— To przemóż na sobie i wychyl odrazu, a ja z to- bą wypiję dla kompanii.

Usłuchał Charłak, wypił i rzecze:

— A wiesz co, bracie, zrobiło mi się jakoś lżej i weselej; dajno jeszcze kieliszek. A potem zaproszę sąsiadów, aby ich wszystkich uraczyć gorzałką; niech wiedzą, że Charłak z imienia, przestał być z mienia charłakiem.

Myśl tę już pierwaj miał dyabeł w głowie i tylko dodał:

— A czego w domu nie wypijem, rozprzedamy są- siadom w karczmie.

Jeszcze roku nie wyszło, gdy Charłak zapił się na śmierć, rolę wzięto za dług, a żona i drobne dziatki zo- stały bez odzieży, kąta i okrajca chleba, którego o chło- dzie i głodzie poszły zebrać do obcych ludzi i znosić szydercze przycinki za swego rodzica.

Od owej pory upowszechniła się między ludźmi wódka, ten bicz boży, którym się dobrowolnie chłoszczą i który do chat kmiecych ubóstwo i nędzę sprowadza, trądem ich ciało i duszę oszpeca i swojemu wynalazcy, dyabłu, tysiące dusz codziennie dostarcza.

O DWÓCH BRACIACH: BIEDZILE I OKPILE.

Był sobie staruszek i miał dwóch synów: jeden zwał się Biedzilo, drugi Okpiło. A że zwykle staruszko- wie z czasem świat ten opuszczają, a swoje mienie dzia- tkom pozostawiają, zatem i ten żył, póki mu Bóg prze- znaczył, a potem umarł i pieniądze synom zostawił.

Brat starszy, Okpiło, był chciwy i oszust, a młodszy, Biedziło, był poczciwy, ale za to często-gęsto łyknać lubił, więc mu czarne zdawało się białem, a białe czarnem.

Obaj bracia nad zmarłym ojcem popłakali, uczciwie go pochowali, sutą stypę wyprawili, a gdy się ludzie porozchodzili, spadkiem dzielić się zaczęli.

Starszy Okpiło porozkładał pieniądze w równe kupki i, to biorąc sobie, to dając bratu: to mnie, to tobie, to mnie, to tobie, to mnie i t. d., okpił, co się zowie, Biedziłę.

Poczciwiec Biedziło, wziął, co mu dano, oddzielił się od brata i zaczął żyć sam swoją głową; ale że z groszem liczyć się nie umiał, pracą go nie przysparzał, a biednym rad udzielał i o duszy ojca nie zapominał, w krótkim więc czasie zapasy znikły i w chacie okazały się puste cztery kąty i piec piąty.

Podziwił się, pobiedował i do swego brata Okpiły powędrował, prosząc, by wsparł go czemkolwiek; ale ten mu odpowiedział, że daje nie ten, co ma, ale ten, co chce dawać,—a że Okpiło chęci tej w sobie nie czuje, z kwitkiem go więc odprawia.

Wyszedłszy od brata, powędrował Biedziło tam, gdzie go oczy poniosły, bo wracać do domu nie miał po co; poszedł więc szukać szczęścia w świat szeroki.

Idzie tak, idzie, idzie, aż oto spostrzega staruszką siwiuteńkiego, zziębłego, który brnął przez pole po śniegu i, chcąc się dostać na drogę, wpadł do rowu aż po szyję i znikł w kąpielusze. Choć o ratunek nie wołał, Biedziło za nim do rowu wskoczył i dawaj go ratować: pochwycił starca za barki, wyciągnął go napół-żywego i póty chuchał i rozcierał, dopóki skrzępych członków nie rozgrzał, tak, że staruszek mógł sam iść dalej. Ale że gdzieś stary czapkę i rękawice w śniegu zgubił, ustąpił mu więc Biedziło swoje i jeszcze ostatni trojak do ręki mu wsunął, by w blizkiej karczmi rozgrzał stare kości.

Biedziło idzie, idzie przez las gęsty, mróz srogi coraz się wzmacza i tak go zimnem przejmując, że ręk

i oczu nie czuje!.. Wtem, o dziwy! na uboczu własną swą czapkę postrzega i tuż przy niej rękawice. Zdziwił się wielce, pomyślał i skoczył po nie. Ale one, jakby życiem ożywione, same się suną po śniegu coraz dalej, naprzód, naprzód, a Biedziło tuż za nimi: to podbieży, to przyskoczy, już, już chwytą, znów mkną dalej... ani rady! Groźby i prośby nie pomagały, biegł więc za nimi, aż wtem znienacka zjawia się chatka; drzwi jej skrzypnęły, czapka i rękawice przez próg skoczyły, a Biedziło za nimi.

W chatce na piecu siedzi ten sam staruszek i wchodzącego Biedziłę zapyta:

— A waś czego?

— A, to waszeć, staruszkul! toś mi znajomy: przed chwilą wydobyłem cię ze śniegu. Jakżeś mógł tu mnie wyprzedzić?

— O to nie pytaj, ale żeś mi przysługę wyświadczył, proś więc, o co chcesz, a wnet otrzymasz.

— Jeżeliś tak łaskaw, staruszkul, to pozwól mi naprzód ogrzać się przy piecu, a potem daj posiłek czemkolwiek.

— Oj, wymłokosy, tego tylko pragniecie, co grzeje i brzuch syci, a są rzeczy potrzebniejsze... Ale mniejsza o to. Masz tu ciepło, masz i strawę, masz i pościel; rozgość się i odpocznij.

Biedziło podgrzał się, podjadł, wyspał się, staruszkowi się pokłonił i do drogi był gotów.

— Żebyś na biedę nie narzekał i mnie czasem wspomniął — rzekł staruszek,— weź oto tę kieskę skórzaną; nie uczyni cię ona wprawdzie bogatym, ale syt z nią będziesz; gdy jeś zechcesz, rzuć ją o stół lub ziemię, mówiąc:

Hejże kiesko-chlebodarko,
hojną dla mnie bądź szafarką!

I czego tylko zażadasz, da ci natychmiast.

Biedziło, jakby na nowy świat się narodził. Starca za kolana uściśnął, a przybiegłszy do domu, wnet się przekonał, że starzec prawdę mówił, bo z łaski kieski-

chlebobdarki wciąż jadł i pił, ile wlażło! Więc zachciało mu się brata z bratową zaprosić, by się przed nimi do-
statkiem pochlubić.

Brat Okpiło długo się wymawiał, sądząc, że u Biedziły zawsze bieda i pustki w domu. Wreszcie dał się namówić, i gdy z żoną do brata wchodzi, znajduje go za stołem, a tu na niezasłanym stole leży tylko okrajec czerstwego chleba, sól i stoi konewka wody. Na widok takiej uczty zmarszczyli czoła oboje, lecz kiedy już chcieli odejść, Biedziło z zanadtra swoją kieskę wydobyl, o stół rzucił i rzekł:

Nikt z was pewnie nie odgadnie,
co w tej kiesce leży na dnie;
a ja wiem to, że co każe,
z niej natychmiast się ukaże:
Hejże kiesko-chlebobdarko,
hojną dla mnie bądź szafarką!

Kieska się wnet otworzyła, trzech z niej chłopców wyskoczyło, stół obrusem wraz zasłali, potrawami zastawili i tak zwinnie usłużyli, że w ciągu niespełna pół godziny najwyborniejszych potraw goście się najedli, najprzedniejszego wina i miodu napili. Lecz gdy Biedziło dobrze się uraczył, Okpiło zaraz go okpił: gwizdałkę glinianą wymienił z nim na kieskę i odszedł szczęśliwie.

Kiedy winko wyszumiało, obejrzał się Biedziło, ale już po czasie było; gwizdał więc w gwizdałkę, cisnął ją o ziemię, a gdy głośno dokuczać mu zaczął, ruszył do brata, chcąc prosić, by mu kieskę-chlebobdarkę zwrócił. Ale Okpiło i trzech słów wymówić mu nie dał, za kołnierz go pochwycił i precz z domu wypchnął.

Biedziło pobiedował, w głowę się poskrobał i z płaczem do staruszka powędrował.

— Dziadulku kochany — woła, — poratuj mnie nieszczęśliwego. Kieskę-chlebobdarkę oddałem mojemu bratu, a sam z głodu umieram!

— Dobrze ci tak, Biedziło! — odpowiedział starzec, — widać, żeś się na biedę urodził; mądryś po szkodzie, ale głupi przed szkodą!

Starzec poburczał, pomruczał, potem go jednak nakarmił, napoił i dał mu drugą kieskę-chlebobdarkę srebrną, z której, po wymówieniu tychże słów, sześciu zwinnych pacholców z wybornymi potrawami i przędniemi napojami wypadało, a nakarmiwszy i napoiwszy, znów do kieski wracało.

Biedziło znowu przez trzy dni jadł i pił do syta, ale dłużej nie mógł wytrzymać, żeby się nowym nabytkiem przed bratem nie pochwalić, znów go więc do siebie na biesiadę zaprosił. Okpiło przybył, i gdy srebrną kieskę-chlebobdarkę ujrzał, wnet Biedziłę upoił i okpił: na rożek z tabaką wymienił srebrną kieskę i milczkiem do domu czmychnął.

Nazajutrz wytrzeźwił się Biedziło, macnął koło siebie: niema kieski-chlebobdarki... A jeść się chce! Cierpiał nieborak, ale gdy mu głód coraz silniej dokuczał, jeszcze raz do staruszka powędrował.

— Staruszkule najdroższy, zgrzeszyłem i Bóg mię za to karze; kieskę srebrną przehulałem, na rożek z tabaką zamieniłem! Zlituj się, dziadulku, daj posiłek i jeszcze raz cudowną kieską obdaruj; będę za ciebie Pana Boga prosił, póki życie.

— Nie! — rzecze starzec — nie umiałeś szczęścia szanować, umiejże biedę znosić!

— Ach staruszkule! zmiłuj się jeszcze raz jeden, a obaczysz, że się poprawię. Nie wiem, skąd u mnie teraz rozum wziął się. Nie będę się odtąd upijał, i gdy co dobrego do rąk mi wpadnie, już go ani złodziej nie skradnie, ani oszust nie wyłudzi.

I tak prosił natrętnie, że starzec, choć niechętnie, trzecią mu kieskę darował.

— Masz oto kieskę złotą; z niej na każde zażądanie dwunastu dzielnych pacholców wypada... Ale gdy syt będziesz, pamiętaj zawołać na nich: A do kieski, smagańcy! — bo bez tego na śmierć by cię zaraczyli.

Biedziło aż podskoczył z radości; pobiegł spiesźnie do domu, ale gdy mu się w pół drogi jeść zachciało, rzucił kieskę o ziemię i zawołał:

Hejże kiesko-chlebodarko,
hojną dla mnie bądź szafarką!

Wtem się z kieski zakurzyło, zadymiło, dwunastu parobków wyskoczyło — i silnie a żwawo, w lewo i w prawo zaczęli Biedziłę harapnikami smagać i za każdym razem przymawiać:

To nie kieska-chlebodarka!
ale kieska-skórodarka!
A nie pij! a pracuj!
A nie pij! a pracuj!

Biedziło, jak oparzony, jał się rzucać w różne strony, ale nic to nie pomaga, dwunastu go ciągle smaga; smaga, smaga, aż nareszcie przypomniał i wrzasnął: A do kieski, smagańcy! I pachołcy znikli w kiesie.

Biedziło zrozumiał, że dobroci dziwnego staruszka naдуżył, że to w jego postaci był sam Bóg zapewne, — bo któżby tak cudowne rzeczy posiadał?... Postanowił więc odtąd pracować i statkować, a kieskę-skórodarkę bratu ofiarować.

Jakoż gdy wrócił do domu i wziął się do pracy, braciszek Okpiło uprzejmie go nawiedził i zaczął wypytować nieznacznie, czy nie ma znowu jakiej kieski.

— Mam, bracie, i nie skórzaną, ani srebrną, ale szczerozłotą, a do posługi wychodzi z niej nie trzech, nie sześciu, ale dwunastu. A jak traktują, żebyś wiedział, ho-ho-ho!

— Ustąp mi ją, bracie Biedziło, a ja za tę jedną oddam obie poprzednie.

I Biedziło odzyskał tym sposobem skórzaną i srebrną kieskę-chlebodarkę, a bratu oddał złotą kieskę-skórodarkę.

Okpiło sądząc, że znowu brata okpił, śpiesznie do domu wraca, na ucztę sąsiadów sprasza, i gdy się licznie goście zebrali, ciskając na stół złotą kieskę, zawołał:

Nikt z was pewnie nie odgadnie,
co w tej kiesce leży na dnie;

a ja to wiem, że co każę,
z niej natychmiast się ukaże.
Hejże kiesko-chlebodarko,
hojną dla mnie bądź szafarką!

W kiesce się wraz zakurzyło, zadymiło i dwunastu wyskoczyło, a silnie i żwawo, w lewo i w prawo zaczęli wszystkich harapnikami smagać i smagając przymawiać:

To nie kieska-chlebodarka,
ale kieska-skórodarka!
Nie okpiwaj! a pracuj!
Nie okpiwaj! a pracuj!

Dostało się każdemu z gości, ale najbardziej Okpiło, do którego sześciu przypadło i tak zażarcie chłostało, że, jakby ukropem zlewany, wił się, jak piskorz; i kto wie, co by się stało, gdyby nie Biedziło, który przypatrywał się wszystkiemu przez okno, a ulitowawszy się, wszedł i zawołał: A do kiesy, smagańcy!

Wszystko się wnet uciszyło, pachołcy znikli, a goście drapnęli, jak zmyci. Okpiło, drżący z bólu i strachu, żegnał się, skrobał po skórze i na złotą kieskę z ukosa spoglądał.

— Uspokój się, bracie — rzekł Biedziło, — i mnie się także dostało; a choć z jednego kwiatka pszczoła zbiera miód, a wąż truciznę, z tego jednak zdarzenia, kochany bracie, oba jednakowo korzystajmy: Ja przestałem być próżniakiem i pijakiem, ty przestań być oszustem, i kochajmy się, jak na braci przystało... Mam teraz obie kieski i wszystko znowu będziemy mieli wspólne: radość i smutek, szczęście i niedolę.

— Dobrze mówisz, drogi Biedziło! Niech odtąd będzie między nami święta zgoda, a to, co było, niech w wieczną niepamięć idzie. I dwaj bracia uściskali się serdecznie — i żyli długie lata, jak Bóg przykazał.

O MACOSZE I JEJ PASIERIBCY,

co płakała perełkami.

Była sobie wdowa i miała córkę, pasierba i pasierbicę. Pasierb był chłopiec dorodny, pasierbica cud piękności, a córka—tak sobie. Niejedna ich dola była, jak zazwyczaj, kiedy dziatki nie z jednej się rodzą matki. Własna córka, choć złośliwa, krnąbrna, próżna, świegotliwa, była matce ulubiona, i chwalona, i pieszczona, bo zwyczajnie—jej rodzona.

Pasierb, chociaż pracowity, do wszystkiego był użyty; jednakże był niecierpiany, wciąż łajany i szturchany, darmożadem przezywany. Nadewszystko pasierbica, rzadkich przymiotów dziewica, cud dobroci i piękności, doświadczyła skutków złości od swej siostry i macochy, co się tak srodze znęcała, że istny czyściec cierpiała.

Raz pasierbica w niedzielę, mając być na mszy w kościele, wyszła rano do ogrodu, by z kwiatów świeżo rozkwitłych kilka różnianek przysposobić i niemi ołtarz ozdobić. Ledwie kilka róż uszczknęła, patrzy, aż tu przed nią blisko, w szatach śnieżnej białości, w promieniach dziwnej jasności, stoją trzej piękni młodzieńce. A przed nimi na uboczu stoi dziadek starusienki, jak gołąbek siwiuteńki, i o jałmużnę prosi.

Gdy trzech młodzianów zoczyła, najprzód się była strwożyła; lecz gdy staruszka postrzegła, ostatni grosik, co miała, wnet ubogiemu oddała. Dziaduś jej podziękował, grosik do sakwy schował i rzekł do pięknych młodzieńców:

— Oto dziewczyna sierota, bogobojnego żywota, w znoszeniu nieszczęść cierpliwa, ku biednym tak łitościwa, że ostatkami swoimi gotowa dzielić się z nimi; wy więc, co tu stoicie, powiedziecie, co jej życzycie.

— Niechaj w płaczu, zamiast łzami, płacze drogiemi perłami—powiedział pierwszy.

— A przy każdym jej uśmiechu, niech wykwitają z oddechu wonne róże—rzekł drugi.

— W wodzie, gdy się rączką dotknie, niech złote rybki pływają—mówił trzeci.

— Stań się, jakoście rzekli!—starzec zawołał i zniknął, a z nim znikli i młodzieńcy. A był to nie kto inny, tylko sam Pan Bóg i trzej Jego Aniołowie.

Na ten widok pasierbica wnet upadła na kolana, wzniosła się myślą do Pana, cześć Mu powinna oddała, poczem z weselem powstała. Ledwie przez próg przestąpiła, macocha ją pochwyciła i, krzyknawszy: „Gdzieś latała?“ — pęć w policzek! Biedna z żalu zapłakała... Wtem... o cudzie niesłychany! każda łza w perłę się zmienia!

Macocha, choć rozjątrzona, rzuciła się perły zbierać. Widząc taką jej skwapliwość, pasierbica przez swą żywość uśmiechnęła się nieznacznie. I oto z ust jej różowych sypnęły się pełne róże, tak prześliczne i tak wonne, że macocha, tem zdziwiona, stanęła, jak osłupiona.

Pasierbica, chcąc tymczasem przyniesione z ogrodu kwiaty do wody wstawić, umoczyła palec w czystej, jak kryształ, wodzie, w której zaroily się wnet złote rybki. Odtąd, skoro zapłakała, łzy się w perły przemieniały; przy każdym jej uśmiechu sypały się wonne róże, które nigdy nie więdły, a w wodzie, którą dotknęła, wnet złote rybki pływały.

Więc macocha złagodniała i nieznacznie wybadała, jak się z nią to cudo stało.

W następną zatem niedzielę, niby mając być w kościele, rodzona córka macochy, podług własnej jej namowy, wyszła rano do ogrodu urwać kwiatów niby do ołtarza. Ledwie kilka róż uszczknęła, patrzy, a tuż przed nią blisko w szatach śnieżnej białości, w promieniach dziwnej jasności, stoją trzej piękni młodzieńce. A przed nimi na uboczu stoi dziadek starusienki, jak gołąbek siwiuteńki, i o jałmużnę prosi.

Gdy trzech młodzieńców zoczyła, najprzód niby się strwożyła; lecz gdy staruszka postrzegła, prędko ku

niemu przybiegła, ręką w zanadrze sięgnęła, skąd złoty dukat wyjęła i ubogiemu podała. Starowina podziękował, dukacik do sakwy schował i do stojących młodzianów rzekł:

— Oto matczyną pieszczotka, na spojrzenie miła, słodka, w rzeczy złośliwa i mściwa, dla biednych ma dłonie próżne, a tę, tak hojną jałmużnę, pierwszy raz w swem życiu dała, i choć tego nie wyznaje, wiadomo w jakim zamiarze; wy więc, co tu stoicie, powiedzcie, co jej życycie, co mam jej udzielić w darze.

— Niechaj w płaczu, zamiast łzami, płacze zawsze jaszczurkami—rzekł pierwszy młodzian.

— A przy każdym jej uśmiechu, niechaj się lęgną z oddechu brzydkie i skrzeczące żaby—rzekł drugi.

— W wodzie, gdy się ręką dotknie, niech się węże rozmnażają—dodał trzeci.

— Stań się, jakoście wyrzekli! — starzec zawołał i zniknął, a z nim i trzej młodzieńcy.

Dziewica, trwogą przejęta, szybko do domu dobiegła i, co widziała, co słyszała, wszystko to matce opowiedziała. I wkrótce się okazało, że życzenia trzech młodzianów co do słowa się ziściły. Rodzona córka macochy, gdy się uśmiechnie—skrzeczące lecą żaby; gdy płacze—łzy przemieniają się w jaszczurki; gdy się do wody dotknie—wiją się węże kłębami.

Zrozpaczona macocha zaczęła z taką zaciekłością nękać pasierbów, że pasierb, zabrawszy manatki, z siostrą swoją się pożegnał, Panu Bogu ją polecił i w świat Boży powędrował.

Podumał sobie, podumał: w którąż tu udać się stronę?.. Zmówił *Pod Twoją obronę, zaśpiewał Kto się w opiekę*, ubożuchny i bezbronny, poszedł na cmentarz ustronny, ukląkł na rodziców grobie i rzewnie zapłakał sobie. Wyplakawszy się dowoli, trzykroć świętą ziemię rodzinną ucałował i dalej w świat powędrował.

Lecz zaledwie z miejsca ruszył, nagle coś w zanadrzu uczuł; patrzy—przeżegnał się, dziwi się niezmiernie, oczy splakane przeciera, zdala i zbliżka spoziera. Oto, gdy klęczał i płakał na grobie rodziców, szłać modły

błagalne za ich dusze i dalsze losy swej siostry, w zanadrzu niespodzianie, jakieś cudne malowanie znalazło się u niego. Był to obrazek malutki, na którym odmalowane było dziwne podobieństwo jego rodzonej siostry. Matka z grobu uprosiła trzech aniołów, by zdziałali malowanie, i w zanadrze mu włożyła, w chwili, gdy grób jej całował.

Podziwił się, podziwił, wizerunek zrosił łzami, raz jeszcze spojrzął na cmentarz i na wioskę rodzinną, przeżegnał się i poszedł w świat szeroki.

Prędko się dobra baśń baje,—nie tak prędko rzecz się staje.

Długo po świecie o chłodzie i głodzie wędrował biedny sierota, nim mu się służba trafiła, ale za to służba nielada, bo w królewskim ogrodzie. Miał więc jeść i pić po uszy, ale szczęśliwy nie był, bo go trapiła tęsknota do siostry i obawa o srogi los biednej sieroty. Często więc wyjmował z zanadru mały obrazek, całował wizerunek siostry, a dar matki i płakał.

Pewnego razu sam król, stojąc za drzewem, zoczył sieroty obrazek i podać sobie kazał.

Podał mu go z trwogą sierota i czeka, co będzie. Król spojrzął, zdumiał się i rzekł w zachwycie:

— Dziewicy tak cudnej urody ani okiem nie widziałem, ani uchem nie słyszałem, ani w myśli przedstawiałem!.. Powiedz, czyj to wizerunek?

Sierota zalał się łzami i nieśmiało słowami opowiedział królowi, że to właśnie obraz żywy jego siostry nieszczęśliwej, która z Boskiego zrządzenia płacze drogiemi perłami i uśmiecha się różami, a gdy ręką wody dotknie, pływają w niej rybki złote:

Król mu kazał, by natychmiast do macochy list napisał, iżby, nie tracąc ani chwili, cudowną pasierbicę wprost do kaplicy zamkowej przywiozła, a król za żonę ją pojmie, jej brata zaś i macochę, swemi łaskami obdarzy.

Sierota list napisał, a król go przez gońca do macochy wysłał.

Przeczytawszy list macocha, pasierbicy go nie dała, lecz swej córce przeczytała, do czarownicy pobiegła, porady jej zasięgnęła, czarów się wnet poduczyła i z córką i pasierbicą zaraz w podróż się wybrała.

Podjeżdżając ku stolicy, nad brzegiem morza stanęła, pasierbicę z woza pchnęła, słowa zakłęcia szepnęła i trzykroć za się plunęła. A sierotka, tak jak stała, w dziesięcioro wraz zmaląda, nagle w pierze się odziała, z dziewicy kaczką się stała, zakwakała, zakwakała, z brzegu do morza skoczyła i, jak zwykle dzika kaczka, popłynęła gdzieś biedaczka!... A macocha w ślad jej rzekła:

Przez moc mojej nienawiści,
com zechciała, niech się ziści:
ty po morzu, kaczkco, pływaj,
kaczej swobody używaj,
a ma córka w tymże czasie,
tvoją postać wzięwszy na się,
niechaj dołą twą posiedzie
i królewską żoną będzie.

Skoro te słowa wyrzekła, twarz się jej córki oblekła w piękność biednej pasierbicy.

Gdy przybyły do stolicy, wprost do nadwornej kaplicy, król, zamiast sieroty cudnej, wziął z rąk macochy obłudnej własną jej córkę rodzoną i nazwał ją swoją żoną.

Macocha, po ślubie swej córki, hojnie przez króla obdarzona, odjechała do domu.

A król dziwi się i dziwi, co u licha za przyczyna, że choć pojął dziewczicę, do wizerunku podobną, a której tak pożył, bynajmniej nie czuje przecie ani tego uniesienia, ani tego zachwycenia, których zazwyczaj doświadczał, gdy na malowanie poglądał. Ale cóż to pomoże?... co się stało, nie odstanie; śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Aż oto na uczcie weselnej, gdy królowa w zapomnieniu do króla się uśmiechnęła, z ust mnóstwo skrzeczających żab wyskoczyło. Gdy tem strwożona, zapłakała

z oczu, zamiast pereł, posypały się jaszczurki. Gdy marszałek z miednicą wody do królowej przyskakuje, by usta sobie przemyła, nagle w wodzie kłęby węzów zasyczały i ku gościom się rzuciły. Powstał krzyk i zamieszanie—i ledwie straż, gdy przybyła, z plugastwa komnatę oczyściła.

Król zaś wypadł do ogrodu, spotkał na drodze sierotę i w zapale gniewu, sądząc, że go ten zmównie oszukał, jak wyciął go laską w ciemność, tak sierota upadł na ziemię i ducha wyzionął.

Królowa, gdy to spostrzegła, z udanym żalem przybiegła i rzekła:

Królu i mężu! cóżes uczynił, za coś mi brata niewinnie zabił? Onże to winien lub jamże winna, że gdy twą żoną zostałam, cudną mą własność wnet postradałam, co jest zapewne sprawą uroku i przejdzie z czasem... A rodzzonego brata mojego któż mi powróci?

Biedny sierota, niby rodzony brat królowej, do srebrnej trumny włożony, na wspaniałych marach postawiony, tysiącem gromnie jarzących był otoczony,—a gdy noc nadeszła, król przy trumnie postawił straż rycerską.

W niebotycznej świątyni, kirem pokrytej, załobnem światłem oświetlonej, stoją rycerze na straży i czuwają. Wtem o samej północy, cicho, bez szmeru, rozwarły się naścieżaj podwoje kościelne, straż nagle usnęła, do kościoła piękna kaczciczka weszła, na środku stanęła, piórka otrząsnęła—i przecudna dziewczica nad trumną rzewnie zapłakała, a z jej oczu nie łzy, lecz drogie perły padały. Napłakawszy się do woli, znowu przemieniła się w kaczkę i wyszła.

Po jej wyjściu straż się ocknęła i wielce zdziwiła, znalazłszy przy trumnie mnóstwo kosztownych pereł. Nazajutrz rano rycerze opowiedzieli królowi, jak ich o północy niepokonany sen ogarnął, i o przecudnych perłach, które nie wiedzieć skąd się wzięły.

Król mocno się temu dziwi i zamyśla się nad perlami, któremi jego żona płakać miała. Na drugą noc straż więc podwaja i surowo zaleca czuwanie.

Znów o samej północy, cicho, bez szmeru, rozwarły się podwoje, rycerze nagle usnęli, do świątyni piękna kaczciczka weszła, na środku stanęła, piórka otrząsnęła i cud-dziewica, na podwojoną śpiącą straż spojrzawszy, uśmiechnęła się. A oto z oddechu jej posypały się cudne i wonne róże, gdy zaś nad trumną rzewnie zapłakała, z oczu nie łzy, lecz prawdziwe perły padały. Późem, jak pierwej, przemieniła się w kaczkę i wyszła, a straż, wnet obudzona, ujrzała perły i róże, po ziemi rozsypane, i rano królowi to doniosła.

Król bardziej się jeszcze dziwi, że nie tylko perły, ale i róże, które miały być własnością płaczu i uśmiechu jego żony, zjawily się w kościele. Więc na noc trzecią wysła straż potrójną i surowsze rozkazanie czujności. Straż pilnuje, spełnić rozkaz usiłuje; lecz gorliwość nie pomogła, senność znowu ją przemogła, a po swoim przebudzeniu i podziwieniu nie tylko perły i róże, ale w chrzcielnicy, w wodzie święconej, pełno złotych rybek znalazła.

Król, zaniepokojony bez miary, domyślił się, iż w czymś zapewne wzroku musi być siła uroku, która wszystkich w senność wprawia. Za nadejściem więc nocy czwartej postawił poczwórne warty, a sam za ołtarzem stanął i zwierciadło tak powiesił, by, nie będąc widziany, sam wszystko w niem widział,—i czuwał. Aż o północy, skutkiem niezbadanej mocy, otworzyły się podwoje... Straż, rzuciwszy broń swoje, nagle pokotem runęła i głębokim snem usnęła. Król w zwierciadle widzi dziwy! Wchodzi kaczciczka nieśmiele, rzuca wzrokiem po kościele, a widząc, że straż uspiona, wchodzi dalej ośmielona; na środku nawy stanęła, i gdy się nagle strzepnęła, piórka się z niej posypały, i oto z kaczciczki małej, zjawia się wnet cud-dziewica, jakiej oko nie widziało, ani ucho nie słyszało.

Król w zdumieniu, w zachwyceniu, poznał, przeżył, że to ona, miała mu być poślubiona. Więc gdy ku trumnie podeszła, król ze świecą zapaloną, wyszedł cicho z za ołtarza i porzucone piórka kaczkę podpalił. Pierze płomieniem buchnęło, a straż ze snu się zerwała.

Gdy to dziewczica spostrzegła, nagle do króla przybiegła, białe rączki załamała, perełkami zapłakała i rzekła:

— Królu, dla Boga, cóżej zrobił!... Jam przez macochę w kaczkę zaklęta, tyś zdjął zaklęcie!... Gdzież się przed straszną zemstą jej podziej?

I sierota cud-dziewica wszystko królowi opowiedziała. Król natychmiast swoją żonę, podstępem mu zaślubioną, za granicę swego kraju kazał wywieźć, a macochę na stosie spalić.

Pasierbica, cud-dziewica, wyjęła z zanadru przy-niesione w pęcherzykach z morza trzy wody: odmartwiającą, gojącą i ożywiającą. Gdy pierwszą na brata przysnęła, wnet martwość w ciele zniknęła, twarz się zarumieniła, a z rany krew posączyła. Gdy drugą oblała ranę, nagle się rana ściągnęła i zagoiła. A gdy wodą ożywiającą skropiła, sierota oczy otworzył, rzucił się siostrze na szyję i płakał z radości i opowiedział jej o danym mu przez matkę, gdy płakał na jej grobie, wizerunku, który jej córkę sierotę wyniósł na królową.

Król nie posiadał się z radości, kazał na wesele sproszyć gości, pasierba przeproszał i całował, pierwszym wojewodą mianował, a gdy tak huczne wyprawili, że ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało.

I ja tam byłem, miód, wino piłem,
Po brodzie kapą, w gębie nie postało!

O staruszkę i staruszcę i o złotej rybce,

czyli

Daj kurze grzędę:
jeszcze wyżej będę.

Nad brzegiem morza stała chatka, a w tej chatce żyli sobie staruszkowie. Starzec, rybak zawołany, był

z dobroci serca znany, a staruszka, jego żona, była chcia-
wa i tak w gniewie popędliwa, że mąż czyścić cierpiał
od niej.

Pewnego razu poszedł stary rybak na połów i, gdy
zarzucił pierwszy raz sieć, wyciągnął pełną błota; za-
rzucił drugi raz, — wyciągnął pełną trawy; zarzucił trze-
ci — i złowił — rybkę złotą.

— Ach rybaku nad rybaki! — odezwała się doń
złota rybka, — nie gub mnie biednej rybeczki, puść mię,
a co tylko zażadasz, dam ci za siebie w okupie!

Staruszek zląkł się i zdziwił, bo choć lat siła ba-
wił się siatką na morzu, jeszcze nigdy nie widział,
żeby ryba ludzką mowę miała. Więc wyjął złotą rybkę
z sieci i, puszczając w morze, rzekł:

— Pan Bóg z tobą, złota rybko! nie chcę okupu
za ciebie; płyn sobie, gdzie ci się podoba.

— Bóg ci zapłać, dobry człowiecze, za twą litość!
Pomnij jednak, żem ci moje winna życie, i w każdej na-
głej potrzebie, przychodź śmiało na te brzegi i gdy tak
a tak zawołasz, na każde twoje wezwanie, złota rybka
wnet tu stanie i spełni wszelkie żądanie.

Powróciwszy do domu, stary rybak opowiada swej
żonie tę dziwną przygodę:

— Złapałem był dzisiaj rybkę, ale rybkę nielada,
bo złota i jak człek gada; a tak czule mię błagała, bym
ją puścił, obiecując za to wszystko, co zechcę, żem się
nad nią ulitował, gubić biednej pożałował i puściłem!

— A ty taki, ty owaki, — zawołała baba z gniewem!
— dałeś się rybce oszukać... Nie wziąć to było
okupu... Choćbyś wziął od niej koryto; wszak to nasze
całkiem się rozszczepiło, nie będzie w czym wieprzom
zamieszać!

Staruszka zrzędzi i wrzeszczy, a rybak, nasuną-
wszy czapkę na uszy, wyszedł milczkiem, przychodzi
na brzeg morza i zawoła:

O złota rybko!
Płyn ku mnie szybko,
bo moja żona
tak oburzona

na mnie biednego,
żem bez żadnego
powrócił łupu,
iż chce okupu
żądać od ciebie!

Poruszyło się zlekka morze i, z małych falek wyj-
rzawszy, złota rybka zapytała:

— Czegóż więc żadasz, rybaku?

Staruszek nisko się rybce pokłonił i rzekł:

— Zmiłuj się, złota rybko! Moja baba wylażała
mię i nie daje spokoju, potrzebuje koniecznie nowego
koryta, gdyż stare całkiem się rozszczepiło.

— Nie smuć się, staruszk, idź sobie do dom z Bo-
giem! Nowe koryto mieć będziesz.

Powróciwszy do żony, rybak znalazł już nowe ko-
ryto w sieni; ale stojąca nad niem baba rozwrzeszczała
się jeszcze gorzej:

— Oj ty głowo do pozłoty! Cóżes to u złotej ryb-
ki wyprosił? koryto! koryto! to mi łaska, co i trzech
groszy nie warta! Ruszaj zaraz do złotej rybki i proś:
niech nam da nowy domek.

Poszedł starzec nad morze, poskrobał się w głowę,
westchnął i zawołał:

O złota rybko!
Płyn ku mnie szybko,
bo moja żona
tak oburzona
na mnie biednego,
że już innego
chce żądać daru!

Zaszumiało morze, i ze spienionej fali ukazała się
złota rybka i rzekła:

— Czego żadasz, staruszk?

— Zmiłuj się, złota rybko! — odpowiedział, kłania-
jąc się, stary rybak, — baba moja jeszcze bardziej gniewa
się na mnie i nie daje spokoju: jej się domku nowe-
go zachciało.

— Nie smuć się, staruszkę — odrzekła rybka, — idź sobie z Bogiem, a nowy domek będzie.

Powraca starzec i patrzy zdziwiony: starej chałupy ani śladu, a na jej miejscu stoi dom nowy, na podmurowaniu, z białym kominem, ze świetlicą, piecem kaflanym; baba zaś, stojąc we drzwiach, wrzeszczy, co ma siły, na męża:

— A ty, ladaco! a ty, nic-dobrego! miałeś o co prosić! o domek! o domek! Wracaj się, gapiu, i proś złotą rybkę o *dworzec*, bo ja nie chcę być chłopką, ale panią!

Poszedł stary rybak nad morze, poskrobał się w łysinę, westchnął i zawołał:

O złota rybko!
Płyn ku mnie szybko,
bo moja żona
tak oburzona
na mnie biednego,
że znów pięknego
chce żądać dworu!

Zahuczało wzburzone morze, a z mętnej wody wyjrzała rybka i zapytała starca, czego żąda.

— Zlituj się, złota rybko — odpowiedział, — baba moja okropnie się gniewa, bo nie chce być chłopką, ale zostać panią we dworze.

— Nie smuć się i powracaj do domu z Bogiem.

Powraca staruszek do staruszki, patrzy — co u licha: taka złość i taka pycha!... Na miejscu domku stoi dwór pański, a na ganku siedzi jego żona w jedwabnej sukni, na szyi ma perły, na palcach złote pierścienie, na łbie kornet, przed nią stoją pokorni słudzy, a ona ich palantuje i za włosy targa.

— Jak się masz, Jaśnie Wielmożna Pani — przemówił pokornie rybak, — jesteś-że wreszcie rada?

— Czym ja rada, czy nie rada, tobie chłopie nie wypada tak poufale odzywać się do mnie!... Idź precz do stajni, doglądaj mych koni!

Mija tydzień, mija drugi; Jaśnie Wielmożna rybakowa wzięła na rozum, każe przywołać ze stajni męża i rzecze:

— Idź mi natychmiast do złotej rybki i powiedz, że ja chcę królową zostać!

Rybak, sądząc, że stara dostała pomieszczenia zmysłów, zawołał:

— Cóż to, babo, oszalałaś! czyś się najadła blekotu, że chcesz zostać już królową? Chyba na pośmiewisko dla ludzi!

Zaczerwieniła się baba, jak upiór, — pęć starego w policzek i wrzaśnie:

— Jak śmiesz, chamie, przeciwiać się takiej damie?! Idź do rybki, mówię ci nie po niemiecku; a jeśli nie mego słowa, to kija wnet posłuchasz!

Poszedł staruszek nad morze, poskrobał się w głowę, westchnął i wezwał, jak dawniej, złotej rybki.

Wzdęło się morze wzburzone, rozhukały się mętne fale, z których ukazała rybka swą główkę i zapytała staruszkę, czego jeszcze żąda.

— Zlituj się, złota rybko, — odpowiedział, — baba moja szaleje i nie daje mi spokoju; nie chce już być panią, chce zostać królową!

— Dobrze — odpowie rybka, — nie smuć się, starcze idź sobie do domu, zastaniesz tam królową.

Powraca starzec i widzi dziw nad dziwy: przed nim stoi pałac królewski, w pałacu na srebrnym tronie, w dyamentowej koronie, ze złotem berłem w ręku siedzi stara baba, senatorom rozkazuje, a tłum dworzan jej usługuje, kielichy z winem podają, wiwaty wykrzykują, hucznej kapeli grać każą. Królowa wino zapija, pozłociste pierniki zjada i w skoczny taniec iść rada.

Staremu rybakowi aż mrowie po skórze przeszło; ledwie zdążył czapkę schwycić z głowy, do samej ziemi się kłania i rzecze z pokorą:

— Pozdrawiam cię, groźna Królowo! O teraz masz już wszystko, czegoś chciała!

Królowa ani spojrzała i tylko ręką wskazała, by starca za drzwi wypchnięto.

Dwórzanie wnet poskoczyli, jak złoczyńcę pochwycili i w ręce straży oddali. Straż rybaka wykuksała i ze schodów go zepchnęła. Doczekawszy takiej doli, płacząc, poszedł rybak w świat do obcych ludzi.

Mija tydzień, mija drugi; stara królowa posyła liczne sługi, by wyszukali jej męża.

— Słuchaj, stary!—rzecze do przyprowadzonego,— idź zaraz do złotej rybki i powiedz, że ja pragnę być nie starą, ale młodą królową, królową ziemi i morza, a złotą rybkę chcę mieć na swe usługi.

Staruszek nie śmiał już ani pisać, pokłonił się nisko, wyszedł, i rad nie rad, przybywszy nad brzeg morza, zawołał:

O złota rybko!
Płyn ku mnie szybko
bo moja żona
tak oburzona
na mnie biednego
że znów innego
chce żądać daru!

Morze zaszumiało, zaryczało, spienione fale piętrzyć się zaczęły; ukazała się złota rybka i rzekła:

— Czego jeszcze żadasz, starcze?

A rybak jej odpowiedział:

— Zlituj się, złota rybko! Co mam począć z przekłętą babą?... Już jej mało być starą królową ziemi; chce zostać młodą królową morza i ciebie mieć na swe usługi.

Złota rybka nic nie odpowiedziała, tylko ogonkiem plusnęła i już na zawsze zniknęła. Stary rybak długo stał na brzegu, czekając odpowiedzi, ale, nie doczekawszy się, powraca do królowej. Aliści w miejscu pałacu królewskiego stoi przed nim stara chata, na progu przerażona siedzi baba, a przy niej w sieni rozszczerzone leży koryta i zgłodniałe wieprze kwiczą, domagając się jada.

